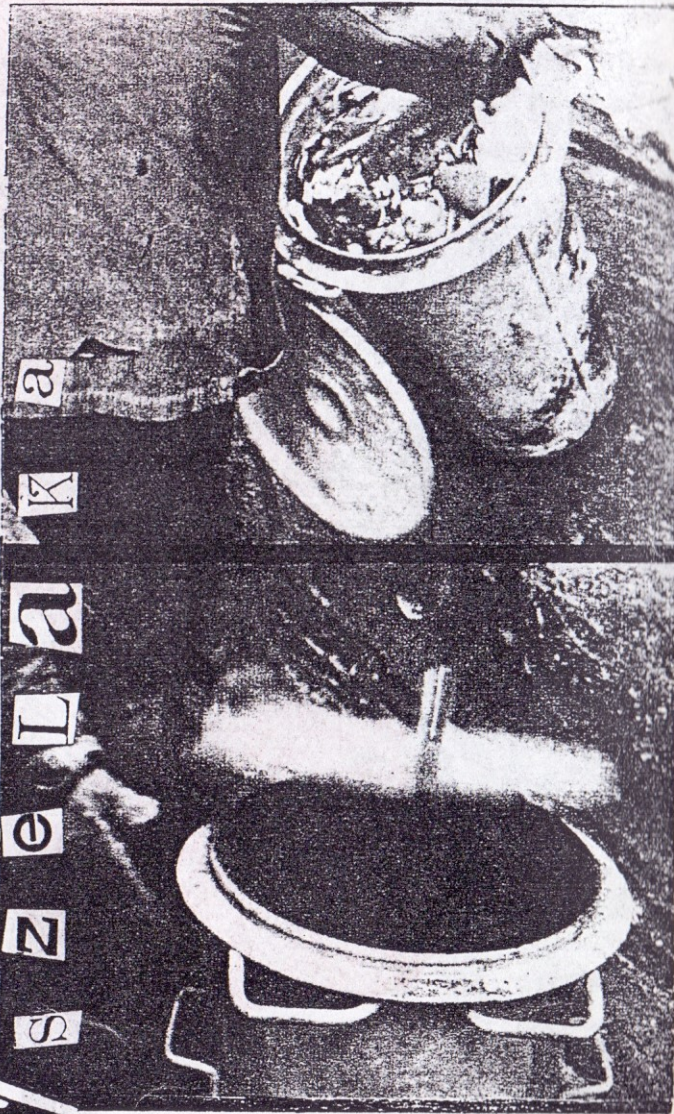




Wszystkie

Wszystkie



Kąpiele ziołowe

Kąpiel przygotowujemy wlewając do wanny napełnionej wodą uprzednio odcedzony napar lub odwar z ziół. Można również w czasie napełniania wanny wodą zawiesić na sznureczku, poniżej lecejącej z kranu gorącej wody, płócienny woreczek napełniony ziołami. Można też włożyć woreczek z ziołami na kilka minut do dzbanka z wrzątkiem. Otrzymany napar wlać do wanny a woreczek z zawartością ziół wykorzystać podczas kąpieli do nacierania całego ciała.



A oto kilka przepisów na przygotowanie kąpeli ziołowych:

Kąpiel oczyszczająca

- 3 łyżeczki liści mniszka lekarskiego,
- 3 łyżeczki ziela pokrzywy,
- 3 łyżeczki liści czarnej porzeczki,
- 2 łyżeczki liści geranium.

Jest to wspaniała ziołowa mieszanka, która działa na skórę oczyszczająco. Dodatek geranium nadaje przyjemnego zapachu.

Kąpiel odprężająca

- 3 łyżeczki kwiatu rumianku,
- 2 łyżeczki ziela wiatrówki błotnej,
- 2 łyżeczki kwiatu lipy,
- 1 łyżeczka korzeni kozłka lekarskiego.

Zioła te mają działanie uspokajające i odprężające.

Kąpiel orzeźwiająca

- 3 łyżeczki kwiatu nagietka,
 - 3 łyżeczki kwiatu mięty,
 - 2 łyżeczki pokruszonego korzenia lubczyku,
 - 1 łyżeczka suchego ziela pokrzywy.
- Nagietek działa ściągająco, miętą odświeżająco, lubczyk orzeźwiająco, a pokrzywa pobudza krążenie.

Kąpiel lawendowa

- 1 łyżka kwiatu lawendy,
- 2 łyżki liści wawrzynu (liście laurowe)
- 4 łyżki płatków owsianych,
- 4 łyżki otrębów.

Wszystkie składniki wrzucić do dużego garnka z gotującą się wodą, przykryć pokrywką i pozostawić na małym ogniu przez 1 godz. Następnie odcedzić i wlać odwar do wanny.

Kąpiel lecznicza

- 4 łyżki korzenia żywokostu lekarskiego,
- 3 łyżki ziela mięty,
- 1 łyżka utłuczonych liści rozchodnika.

Odwar z korzenia żywokostu należy gotować na małym ogniu pod przykryciem co najmniej 30 minut. Do odcedzonego gorącego odwaru dodać ziele mięty i liście rozchodnika. Naczynie przykryć i pozostawić na następne 30 min. Uzyskany w ten sposób napar należy odcedzić i wlać do wanny.

Kąpiel z dodatkiem kwiatów bzu czarnego i mleka

- 300 ml mleka,
- 50 g suszonych lub 100 g świeżych (2 łyżki) kwiatów bzu czarnego.

Suche kwiaty bzu czarnego wrzucamy do wrzącej wody i pozostawiamy pod przykryciem 30 min. Otrzymany napar odcedzamy, dodajemy do zimnego mleka i wlewamy do wanny. Ta delikatna i bogata w składniki odżywcze kąpiel zmiękcza skórę.

Jeżeli dysponujemy świeżymi kwiatami bzu wtedy możemy je w zimnym mleku od 1 do 4 godz., po czym odcedzamy i wlewamy do wanny. Kwiaty bzu czarnego można zastąpić kwiatem rumianku lub lipy.

Mieszanka z mleka w proszku i suchych kwiatów bzu może być także wykorzystana do przygotowania woreczka kąpielowego.

Kąpiel stóp

- Garść świeżych ziół lub 3 łyżki ziół suszonych — szalwii, tymianku, lawendy lub majeranku,
- 1 łyżka soli kuchennej.

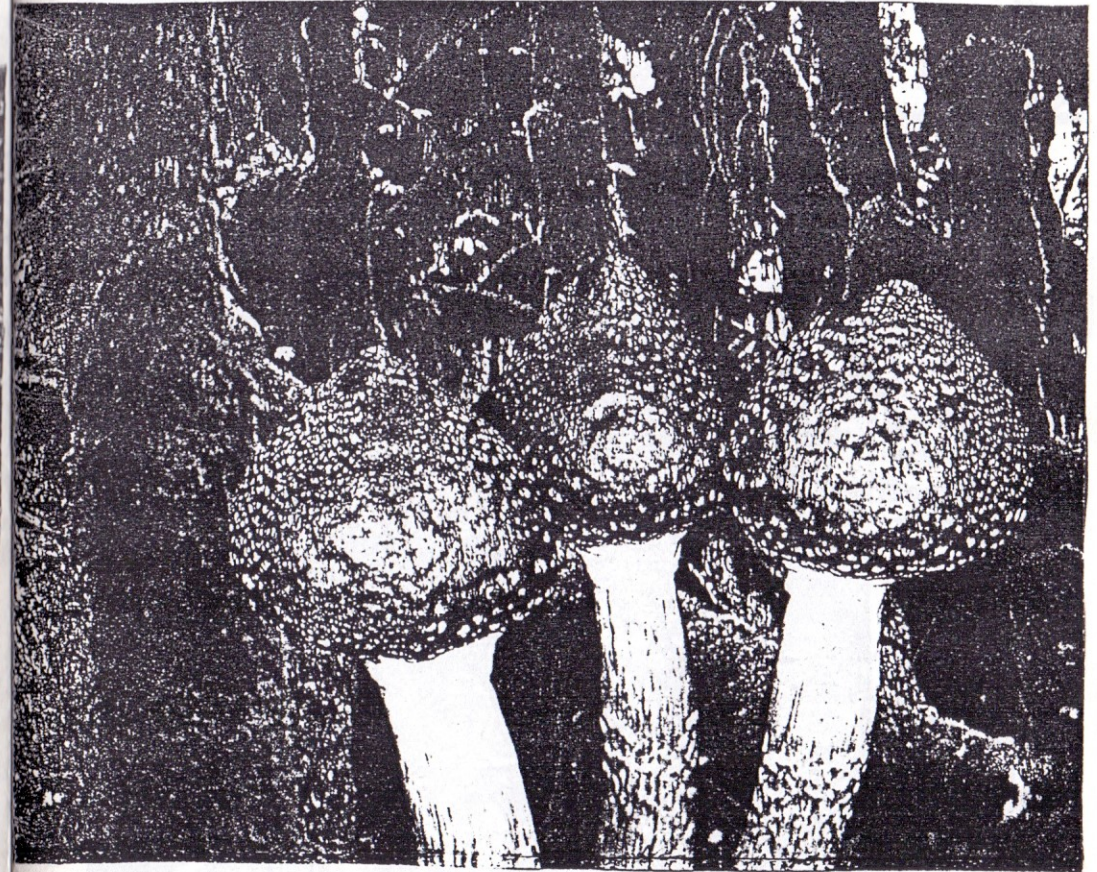
Do miski z wrzątkiem należy wsypać zioła i sól. Kąpiel ta usuwa zmęczenie stóp, rozgrzewa i poprawia krążenie krwi. Ma ona zadziwiające działanie odświeżające i wzmacniające nie tylko dla stóp ale i całego organizmu. Jeżeli do kąpeli użyjemy nasion gorczycy czarnej to uzyskamy efekt rozgrzewający nasze stopy.



Ziółko



Gzybski



Psychocypry

PRZEDZIEJMIENIA WYROSNIĘCIA KAKTUS



CzAd NA PRZEZROCZYŚCIE

Był szary i nijaki październikowy dzień, gdy wieść obiegła miasto. Lud pracujący odetchnął głęboko, a lud niepracujący jeszcze głębiej. Wydało się wszystkim, że oto nadchodził kres ud ręki, że oto rodzi się nowy i potężny SŁOWIAŃSKI SNOBIZM, który wyznaczy kres tej plastikowej rzeczywistości końca XX wieku. że oto pojawili się Mesjasze, którzy pomogą nam wrócić do beztrudnych dni naszej młodości.

Ona była gruba, o kurwa, jaka gruba! Kiedy się uśmiechała w jej szerokiej chłopskiej gębie - nawet wtedy nie znikał z niej grymas znudzenia - widzieliśmy błysk srebrnej górnej jedynki. I Jamy po przednich dolnych zębach. Image był naturalny, było jej z nim do twarzy. Z lekka przetłuszczona blond włosy zwisające do karku czesała z przedziałkiem z lewej strony, a nad czołem przytrzymywała je spinka z papiętem polakiem na obrazku. Co chwila poprawiała je nerwowo wsuwając niesforne kędziory za duże i czerwone uszy. Białe niegdys sweterki w serek odsłaniały do lek między dużymi piersiami, a kończąca się nad kolanami spódnica podkreślała surowe piękno masywnych łód i nocnych, poździe ranych od klęczenia przed facetami w mrocznych zakamarkach, tam gdzie zawsze leży pełno szkła na ziemi, ale przy tym cudnie zaokrąglonych kolan. Gdy ktoś się śmiał pokazując na strupy, mówiła hardo:

- A co, kuw-wa fa, trzeba z czegoś żyć, no nie? - i zaciskała upierścienioną dłoń, więc żeby nie dostać trzeba było szybko zmienić temat.

On był wysoki i chudy, nosił najtańsze garnitury, granatowe i fioletowe, a do nich zakładał fioletowe i błękitne (podobno po licyjne) koszule. Na twarzy i na pośladkach miał zawsze dwudniowy, siwiejący zarost. Nie strzegł się już od dawna i kiedy się odzywał trudno było wskazać, z którego punktu twarzy dochodzi to chrypienie. I palił tylko "extra mocne light", żeby nie naruszyć harmonii tego miejsca, nie zburzyć jego wizerunku.

Ściągneliśmy do ich domu w czwartkowy wieczór taxówkami, pieszo i autobusami MZK, bo to było ważniejsze niż wszystko inne! Takie wydarzenie! Tam po prostu trzeba było być! Nawet Adam zwany Grzybem powiedział potem, że poczuł się o piętnaście lat młodszym. Historia zawoczyła kłóć, a my byliśmy przy tym jak to robiła.

Towarzystwo, które zebrało się u Grubej Renaty i Romana nie prezentowało nieomal wszystkie warstwy naszego społeczeństwa. Byli tu przedstawiciele wolnych zawodów, robotnicy, artyści, biurowkraci i jak w każdym społeczeństwie konsumpcyjnym lumpenproletariusze. Wszyscy znali udwójony sygnał i ceny. Schodziliśmy się pojedynczo, Roman usadzał nas na chybotliwych krzesłach wokół stołu przykrytego ceratą i i odliczał na palcach, kto jest i kogo jeszcze brakuje. Kiedy przyszedłem był już Adam i Rycho zwany Zdzichem, makler Tomasz i obowiązkowo brodaty malarz Jasiu. Zanim zapadł zmrok doszli ci, na których czekaliśmy - właściciel pracowni złotniczej, pan Grzegorz i fan THC, punk Zebra. Roman policzył nas jeszcze raz i nareszcie mu się ugo-

biło. Adam i pan Grzegorz zgodnie twierdzili, że choćby nie wiem co wymyślali artyści na tych swoich wernisażach, to i tak było to nic w porównaniu z tym, czego doświadczaliśmy. Roman z Renatą długo dobierali elementy wystroju wnętrza, tak aby wszystko było na miejscu i pasowało do siebie. Na ścianach wisiały obrazy Matki Boskiej i fotosy z magazynów dla panów, a także czyżes ogonne i kiczowate zdjęcie ślubne zdjęcie.

- Kurewka, Renata, zaczynamy! - wychrypiał wreszcie Roman. Pociłiśmy się wszyscy i drżały nam ręce. - Panowie, dawaj szmal!

- Ile, ile, szefie? - pytali wszyscy nerwowo.

- Po 15 złoty za flachę, gnoje!

- Jest! Mam!

- Renata, szkło! - i na stół wjechała blaszana taca z musz tardówkami. Roman ustawił wódkę na kredensie. - Najpierw kasa.

Ręce drżały nam tak, że aż słychać było furkot banknotów i brzęczenie bilonu. Zadzwieczało szkło, gdy Roman polewał postukując szybkimi butelkami o szklanki. Uśmiechy pojawiły się nam na twarzach.

- No to bum! - wycharczał Roman i wszystko ruszyło. Po zakazie posiadania narkotyków, zakazie picia w miejscach publicznych i wprowadzeniu nieludzkich, a już z pewnością niepołskich przepisów, by w knajpach podawać tylko wódkę do zakąski, albo w drinkach, oto ty - sól tej ziemi i kropla w morzu potrzeb - daliśmy odpowiedź. Renata po drugiej kolejce podała tradycyjnie czerstwy chleb i na wół surowe mięso, przez nią przysmażone. Uśmiechnęła się do nas figlarnie. Wypiła wódkę ze swojej szklanki, powąchała chleb.

- Pić się chce jak we źniwa - roześmiała się. Nareszcie - melina, taka prawdziwa jak w stanie wojennym. Aaaaaa!!!

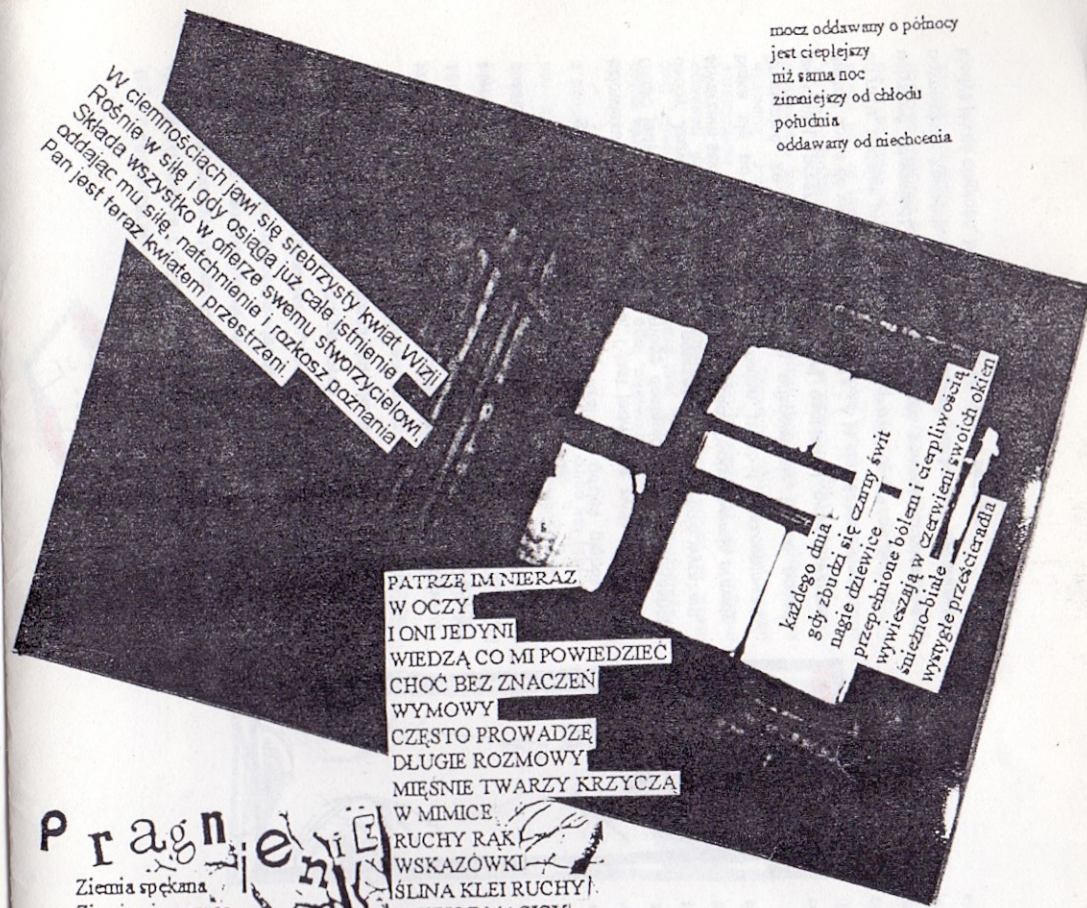
Mięso zjedliśmy, wódkę piliśmy. Po czwartej kolejce pan Grzegorz zymiotował obok swego krzesła i miękkim ruchem spłynął w to miejsce. Pierwsze zejście.

- Amerykanem chce być, a nie umie wódki pić - zarechotał Zdicho. On z koleji usnął z czołem opartym o stół po następnej kolejce. Zebra cicho zaproponował żebyśmy może wypalili skręta, ale na szczęście Roman nie pozwolił popsuć chwili i dał mu w ryj, a potem wyrzucili go za drzwi. Makler Tomasz gdzieś nam się zagubił, a rano znaleźliśmy go śpiącego pod szafą. Jasiu wyszedł po papierosy, potem opowiadał, że sam nie wie jak się znalazł w izbie wytrzeźwień. Czekając na niego Adam i Roman pokłócili się, co tak zmęczyło tego drugiego, że usnął. Wtedy Adam, a zaraz potem i ja, zabrał Renatę na wersalkę i odbył z nią krótki, bez choćby cienia pożądania, nudny poalkoholowy stosunek seksualny. Całość zwieńczyła siódma kolejka. Fajliśmy wszyscy i zasnęli. Aleśmy się upodlili i sponiewierali! Jak w żadnym sklepie nocnym.

Tak odbyło się otwarcie meliny z wódką, tarcien i dynamit. Nie opisywał tego żadne gazety, nie pojawiła się wzmianka o tym w ani jednej anarchistycznej gazecie. A było to jedno z najważniejszych wydarzeń ostatniej dekady XX wieku. Dresztą, nie można polegać na niemej opinii środków kształtujących świadomość społeczną. My nie zasugerowaliśmy się tym, my tam byliśmy.



mocz oddawany o północy
jest cieplejszy
niż sama noc
zimniejszy od chłodu
południa
oddawany od niechocia



W ciemnościach jawi się srebrysty kwiat wzięj
Rośnie w siłę i gdy osiąga już całe istnienie
Składa wszystko w ofierze swemu stworzycielowi
oddając mu siłę, natężnienie i rozkosz poznania
Pan jest teraz kwiatem przestrzeni

PATRZĘ IM NIERAZ
W OCZY
I ONI JEDYNI
WIEDZA CO MI POWIEDZIEC
CHOC BEZ ZNACZEN
WYMOWY
CZĘSTO PROWADZĘ
DLUGIE ROZMOWY
MIĘSNE TWARZY KRZYCZA
W MIMICE

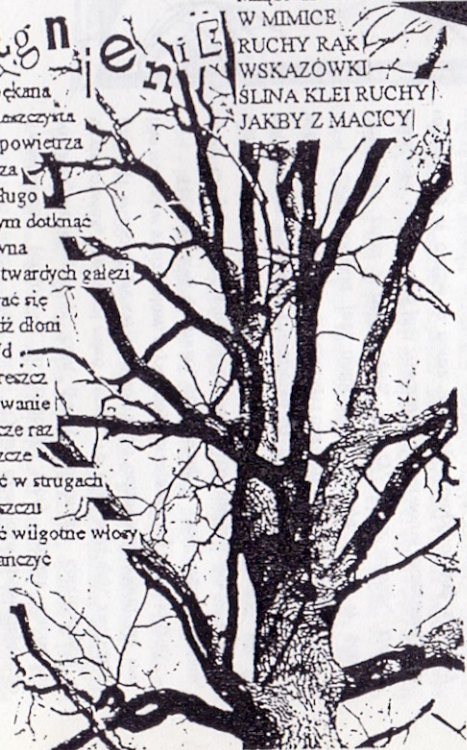
kazdego dnia
gdy zbudzi się czarny świt
nagie dziewczynki
przeczubione bólem i ciepłiwoszą
wyteszają w czerwieni swoich okien
śnieżno-białe
wytygłe przestępczadła

Pragnienie

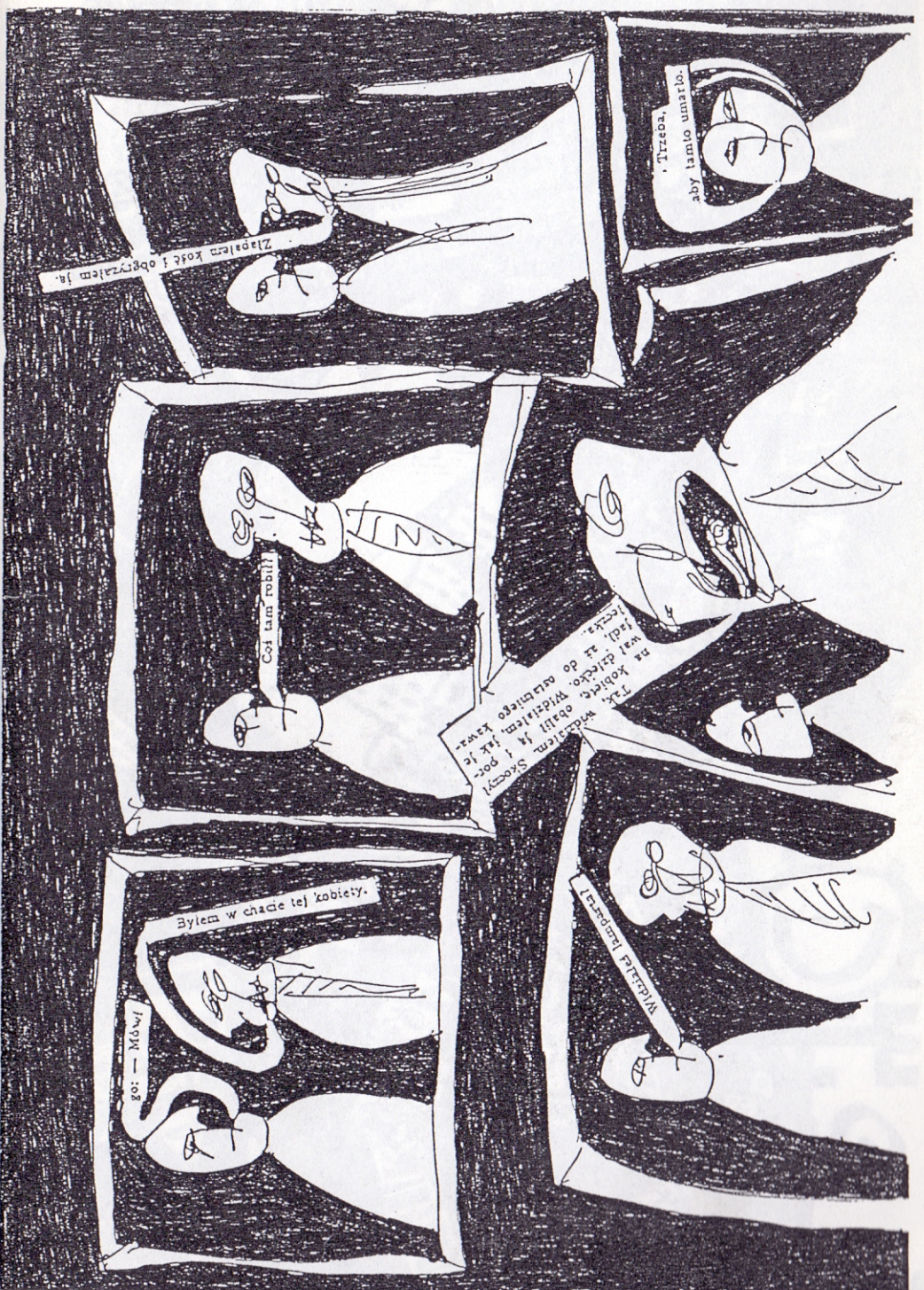
Ziemia spękana
Ziemia piazczysta
Płynność powietrza

- Susza
- Tak długo
- Chciałabym dotknąć
- Drewna
- Sekanych twardych gałęzi
- Ocierać się
- O krawędź dłoni
- Ud
- W dreszcz
- Falowanie
- Jeszcze raz
- i jeszcze
- Zatknąć w strugach
- Deszczu
- Odgarnąć wilgotne włosy
- i zatknąć

RUCHY RĄK
WSKAZÓWKI
ŚLINA KLEI RUCHY
JAKBY Z MACICY



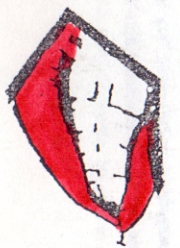
włocy jej mięsą wód
zapomnianych spojrzeń
rpoza ciała bólu
przypomnienie w dłoni
niemoc taką w siłę przemienia
ciepło łoża w dom łoż
bo...
gdy dzwon brzmi
jak niedzwon
a ptaki z nieba
spadają w popól róż
podnieść kamyk szklany
i rzucić w siebie
strach
oczy ciemne nieduże
za mną wśród proroców
... ma łożo wyscielone
z ciemnych słów



czasu, po zmianie zaszelej w środowisku tracą swoje funkcje, bawią w organizmie niepotrzebnie. Przy następnej zmianie zostają wykorzystane zupełnie inaczej.

Tak więc - jeśli słowo się nie nadaje - pozostają inne rozwiązania. Malarstwo, wspinaczka, wędkarstwo, łyły w kosmos, malarstwo, rzeźba, muzyka, morderstwo, gwałt, miłość, polityka... Każda z nich jest wypowiedzią niosącą inne możliwości wyartykułowania tego, co ukryte.

Zajmowanie się sztuką jest dla pewnego rodzaju człowieka koniecznością - potrzeba wyrażenia siebie, komunikacji z innymi jest chyba jedną z najważniejszych, musi być zaspokojona. Nie dziwi determinacja, z jaką dochodzi się do swojego indywidualnego języka, nie dziwi też, że nie od razu wie się dlaczego w taki, a nie inny sposób coś zostało namalowane czy skomponowane. Być może fakt zrozumienia siebie czy kogoś na poziomie (znowu) świadomości (co nieuchronnie wiąże się z obecnością słowa) nie jest tak ważny jak możliwość ekspresji naturalnej dla danej jednostki, zdobycia przez nią szansy wypowiedzenia siebie całkowicie, jak stworzenie narzędzia, którym otwieramy siebie i ukazujemy swoją duszę światu. Wada, ulomność jednostki staje się materialem do wykorzystania - niki inny nie powtórzy tego rozwiązania - nie użyży mojego światła, jeśli ja nie otworzę drzwi.



STOPNIE DOSKONAŁOŚCI

1. Nie popełnić grzechu za nic w świecie, ani nie popełnić świadomie żadnego grzechu powszedniego lub niedoskonałości.
2. Starać się zawsze chodzić w obecności Boga, rzeczywistej lub wyobraźniowej albo jednoczącej, stosownie do czynności, które się spełnia.
3. Nie czynić ani nie mówić nic ważnego, czego by nie uczynił lub nie powiedział Chrystus, gdyby się znalazł w mojej sytuacji i gdyby posiadał wiek i zdrowie, które ja posiadam.
4. Szukać w każdej rzeczy większej chwały i czci Boga.
5. Dla żadnego zajęcia nie opuszczać modlitwy myślanej, ona bowiem jest podporą duszy.
6. Nie opuszczać z powodu zajęć rachunku sumienia, a za każde uchybienie zadać sobie jakąś pokutę.
7. Załować bardzo za każde zmarnowanie czasu, i dlatego że spędza się go nie kochając Boga.
8. We wszystkich rzeczach, wzniosłych czy niskich, mieć Boga za cel, inaczej bowiem nie będziesz wzrastał w doskonałości i zaśludze.
9. Nie zaniedbuj się w modlitwie, a kiedy poczujesz trudność i oschłość, dla tego samego trwaj na niej, ponieważ Bóg niekiedy chce zobaczyć to, co jest w twej duszy, a czego się nie widać w czasie pomysłowości i słodczy.
10. W niebie i na ziemi wybierać zawsze to, co niższe, a mieć się i zajęcie ostatnie.
11. Nigdy nie mieszaj się do tego, co nie zostało ci polecane, i nie upieraj się przy swoim zdaniu, chociażby było słusne. A i w tym, co zostało polecane – jeśli to powiedziano (jak mówią) mimochodem – nie przykładaj do tego ręki. Niektórzy oszukują się w tym, myśląc, że są obowiązani do czynienia tego, co wcale ich nie obowiązuje, gdyby się tylko temu lepiej przyjrżeli.
12. Na sprawy obce, dobre czy złe, zupełnie nie zwracaj uwagi, bo oprócz tego, że stanowi to okazję do grzechu, jest także przyczyną roztargnienia i osłabienia ducha.
13. Spowiadaj się zawsze z uznaniem własnej nędzy, jasno i szczerze.
14. Chociażby sprawy twojego stanu i obowiązki sprawiały ci trudności i przykrości, nie zaniedbuj się w nich z tego powodu, ponieważ nie będzie tak stałe, a Bóg, który doświadcza duszę, dołączając trud do nakazu (por. Ps 93, 20 wg Wulgaty), tą właśnie drogą daje jej powoli odczuć dobro i użytek.
15. Bądź zawsze o tym przekonany, że wszystko, co ci się przydarza, korzystne czy przeciwnie, pochodzi od Boga, abys się w pierwszym nie pysznił, a w drugim nie zniechęcał.
16. Pamiętaj o tym, żeś wstąpił po to, abys był świętym; dlatego nie pozwalaj królować w twej duszy żadnej rzeczy, która by nie prowadziła do świętości.
17. Staraj się sprawić przyjemność raczej innym niż samemu sobie, w ten sposób nie będziesz czuł zazdrości ani przywiązania do bliźniego. To oczywiście rozumie się tylko o tym, co jest zgodne z doskonałością, ponieważ Bóg gniewa się bardzo na tych, którzy nad Niego przykładają podobanie się ludziom.



ŻYWI
PŁOMIEN
MIŁOŚCI

O żywy płomieniu miłości,
Jak czule rani siła żaru twego
Środka mej duszy najgłębsze istności!
Bo nie masz w sobie już bólu żadnego!
Skończ już! – jeśli to zgodne z twym pragnieniem!
Zerwij zasłonę tym słodkim zderzeniem!

O słodkie żaru upalenie!
O rano pełna uczucia błogiego!
O rękę miłą, o czule dotknięcie,
Co dajesz przedsmak życia wieczystego
I spłaczasz hojnie wszystkie zaległości!
Przez śmierć wprowadzasz do życia pełności!

Pochodnie ognia płonącego,
W waszych odbłaskach jasnych i promiennych,
Ochłanie głębin zmysłu duchowego,
Który był ślepy, pełen mroków ciemnych,
Teraz z dziwnymi doskonałościami
Niosą Miłemu żar swój wraz z blaskami!

O jak łagodnie i miłośnie
Budzisz się, Miły, w głębi łona mego,
Gdzie sam ukryty przebywałeś rozkosznie!
A słodkim tchnieniem oddechu Twojego,
Pełnego skarbów wieczystych i chwały,
Jak słodkie wzniecasz miłości zapaty!



ŻYJĘ
ŻYJĄC
W
SOBIE

NIE
W
SOBIE

Żyję, nie żyjąc w sobie,
Nadziei skrzydła rozwieram,
Umieram, bo nie umieram!

Ja już nie żyję w sobie,
Bez Boga żyć nie mogę!
Bez Niego i bez siebie
Jakaż odnajdę drogę?
Miałem życia – tysiąc śmierci!
– W głębie życia się wdzieram,
Umieram, bo nie umieram!

To życie, którym żyję,
To zaprzeczenie życia,
To ciągłe umieranie!
Aż pójdę do zdobycia
Ciebie, mój Boże! – Słyszysz?
Ja się życia wypieram,
Umieram, bo nie umieram!

Pozbawiony tu Ciebie,
Jakież życie mieć mogę?
Jeno śmierć ustawiczna!
Czuję o siebie trwogę,
Serce w bólu się krwawi,
Więc ku Tobie spozieram!
Umieram, bo nie umieram!

Ryba z wody wyjęta,
Co się wśród suszy pławi,
Przynajmniej ma tę pewność,
Że ją śmierć w końcu strawi.

OAGVLATVS ... MONS INQVO

BENEPLACITVM EST DEO HABITARE IN EO.

UCZTA NIEUSTANNA

MONS DEI MONGVIS

DRUGA DUCHA NUCIOBNELOGO

WYCIĄGNIĘTY GŁOS

Jak dojść do wszystkiego	Jak posiadać wszystko	Jak usunąć wszystkie przeszkody	W czym zawiera się wszystko.
--------------------------	-----------------------	---------------------------------	------------------------------

Wszystko objawiające się w tej wyobraźni świata na Górze doskonałości i miłości na podziemnym drzewie (Kryzyz)



Lecz męce mej cóż zrówna?
Ja bóle wszystkie zbieram!
Umieram, bo nie umieram!

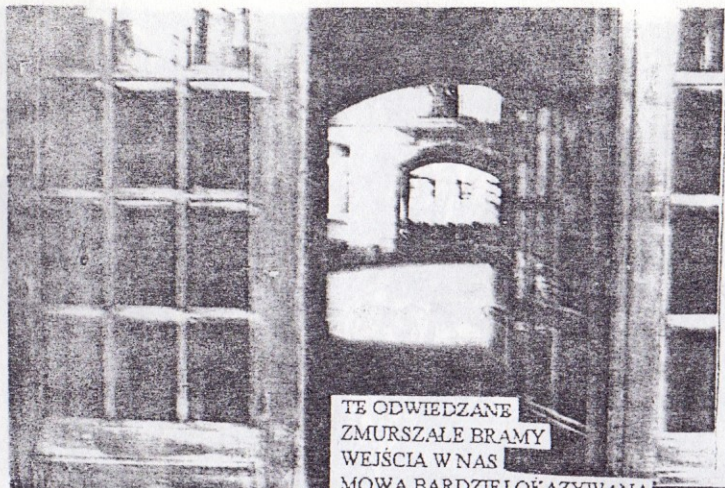
Gdy skupiam moje myśli
W Tajemnicy Ołtarza,
Wiedząc, żeś tam jest skryty,
Ma miłość się rozzarza
I jeszcze więcej cierpie!
W sercu tęsknotą wzbieram!
Umieram, bo nie umieram!

A gdy się cieszę w duszy,
Że ujrzę Cię tam w niebie,
Boleść moja się zwiększa,
Że mogę stracić Ciebie!
I żyjąc w tej udręce
Nadziei skrzydła rozwieram,
Umieram, bo nie umieram!

GÓRA
KARAMEL

Wyrwij mnie już z tej śmierci,
Boże mój, i daj życie!
Nie chciej mnie dłużej trzymać
Na tym wygnanym świecie!
Patrz, jak Ciebie pożadam,
W bólu rany otwieram,
Umieram, bo nie umieram!

Lecz będę już tu płakał
I znosił ból istności,
Bo trwa moje wygnanie
Za grzechów moich złości.
Lecz kiedyś ten czas przyjdzie,
Na który duszę otwieram,
Kiedy szczęśliwy zawołam:
Żyję, bo nie umieram!?



zmów
spaleł
pod do pełna
nakrytym
stołem

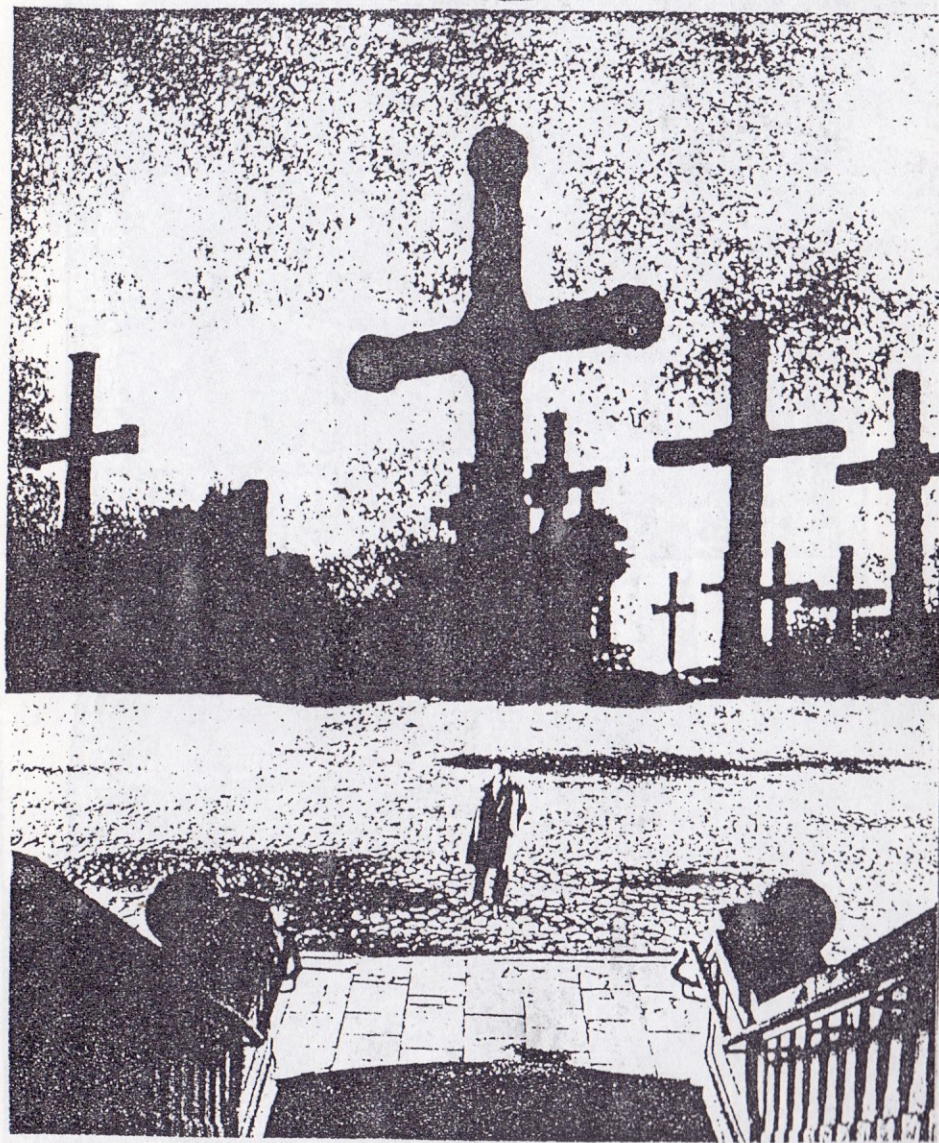
kuranty, dzwony
dla kurwa pana
Słuchaj, Słuchaj
czytaj i patrz
O karto biała
jakiz twój ból
debił na cię
nasra
A ja poezji krol
i chuj!

O dziecię nocy
cośś uczynił
bys zmęczył me oczy
com ci uczynił
dzis pełnia
księżyc
Tys nie jest księżyc
nie płacz
tancz i leć!

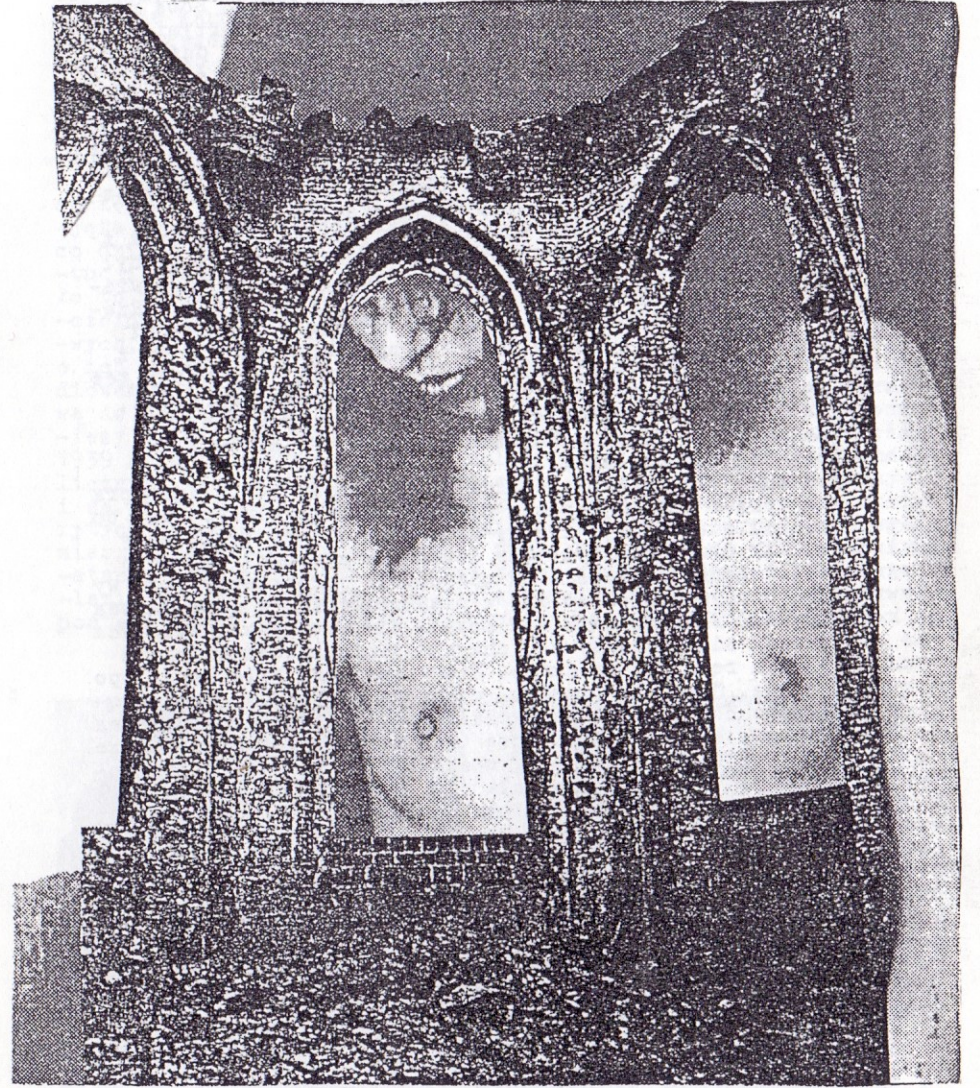
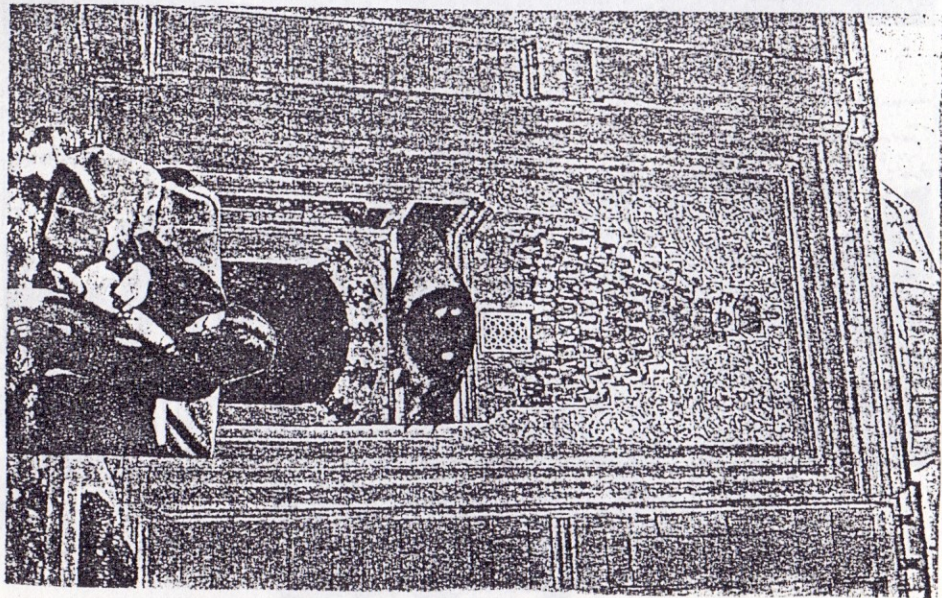
TE ODWIEDZANE
ZMURSZALE BRAMY
WEJŚCIA W NAS
MOWA BARDZIEJ OKAZYWANA
NIŻ ZNACZEŃ SŁÓW
ZBYT WIELE
SPOTKANIE DWOJGA
TO STWARZANIE
ISTOTY
NIE DO KONCA ZNANEJ NAM
GDZIEŚ SPOZA
ZNACZEŃ RAM

ODEBŁEM OD ŚCIANY
PRZERYWANEGO PASA
NA MOSTU BLACIE
ZAWIESZAJĄC SIĘ W PÓŁ
NA BARIERKI RAMIE
WYWIESZONY
NIE KLAMIE
NIEZRÓWNOWAŻONA
TRASA SZYBKIEGO RUCHU
W BEZRUCHU

OKORCZE



GE!



Jan topora

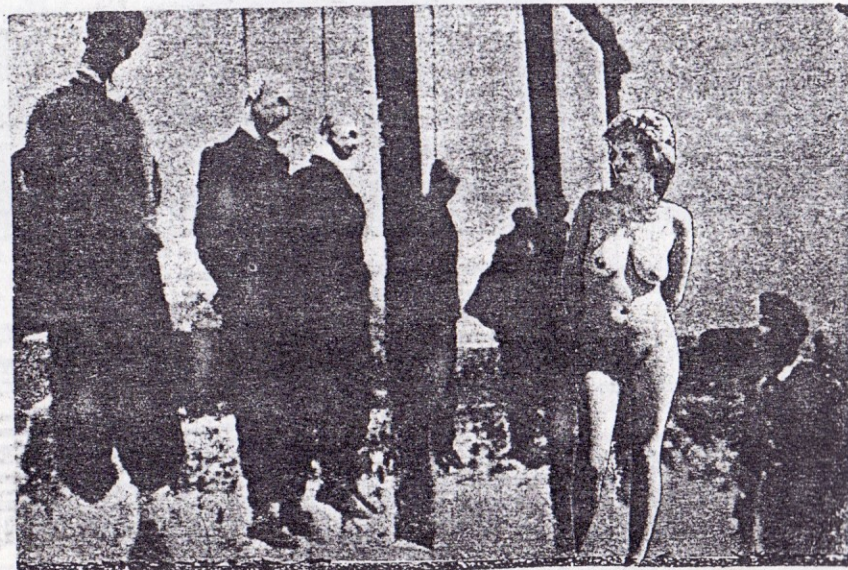
Jan Łopata miał pecha, cholernego pecha. Znalazł się w niewłaściwym miejscu i czasie, jego narodowość bowiem była istotną przeszkodą w realizacji jego pragnień. W historii tej nie ma metafizyki, a wszystko, co w niej waży to pragnienia, prawa, okoliczności. W tle trwa druga wojna światowa, wielkie prucie flaków, dymia krematoria, a miliony facetów walczą ze sobą używając najprzędziwniejszych narzędzi i urządzeń na olbrzymich terenach Europy, Azji i Afryki. Dużo dymów i płomieni, dużo trupów i hałasu. Tło tej historii jest bogato ubarwione, a wiele z tych barw jest istotnych. Dużo tu czerwieni krwi i flag, zieleni mundurów. Znacząca jest czern - taka barwę mają mundury pewnych funkcjonariuszy, togi sędziowskie, żelazo topora i ziemia uprawiana przez Jana Łopatę. Był to czas zabijania, zniewalania i więzienia, taka była moda, a nasz bohater był typowym kontestatorem i myślał o miłości, a może tylko o sexie.

Był Polakiem, źródła nie mówią nic o tym skąd pochodził i kim był zanim wojna zmieniła jego życie. Miał 26 lat, może był przystojnym facetem, a może oblesniakiem, dziś trudno to powiedzieć. Nie wiadomo też, jak to się stało, że znalazł się w Rzeszy, w Bodenhof, w charakterze robotnika rolnego. Czy trafił tam tak jak wielu jego rodaków, wywiezionych siłą na roboty z Polski, czy może zgłosił się sam, bo i tacy byli? Nie wiemy też na czym polegała jego praca w gospodarstwie państwa Schwenzl, czy czerpał z niej satysfakcję? Ślad pozostawiony w historii przez Jana ma tylko kilka pewnych i bezspornych faktów i na nich opiera się ta opowieść.

Początkowo tło ma barwę czarną, jak ziemia, którą Jan uprawia, a za sprawą roślin pojawia się też kolor zielony. Nasz bohater znalazł się w obcym kraju, może otaczali go tylko obcy mu ludzie. Jak długo tam był? Czy dobrze mu płacono? Czy może wszystkie pieniądze zabierali mu gospodarze jako koszty jego wyżywienia i utrzymania? Może się w niej zakochał, a może Teresa go kokietowała? Pewnego dnia Jan Łopata nie wytrzymał, albo wcale nie musiał się przelamywać, chwycił swą chlebobawczynię i wsunął jej swą rękę pod spódnicę. Nie wiemy, czy była ładna, po wnetna i młoda. Może się broniła, oburzana postępkiem "podczłowieka", a może chciała, uśmiechała się do niego, czekając na to jak sytuacja się rozwinie. Może to ona kierowana swym oburzeniem powiadomiła o tym policję, może widział to ktos z jej rodaków, może był to mąż, a ona bała się, by i na nią nie doniósł i sama powiadomiła władze o tym bezecństwie, a może to świadek wydarzenia uruchomił sądniczą machinę. To były złe czasy dla seksualnych kontaktów polsko-niemieckich. Jan chyba nie był w pełni świadom jak okrutne jest niemieckie prawo i co może go spotkać za uleganie swym żądzom. Możliwe też, że Niemka była okrutną kobietą i wydając Jana policji chciała poczuć władzę nad jednym z zawsze dominujących nad kobietami mężczyzn, może samą go sprowokowała, by zabawić się jego kosztem. Oto führer i jego ludzie włożyli niemieckim kobietom do rąk broń przeciw takim zdeprowanym i myślącym tylko o sexie facetom, jak Jan Łopata.

Kolory tła nieco się zmieniły. Został aresztowany, pewnie był bity i poniżany jeszcze bardziej niż dotąd. Pewnie przeklinał swą chuc. Pojawiło się dużo czerni - tej na mundurach pewnych funkcjonariuszy. Może Jan był katolikiem i onanizm był sprzeczny z wyznawaną przez niego religią. Miał pecha i nawet się nie domyślał jak bardzo. Był kwiecień 1942 roku. Może Jan stanął przed sądem, a może ówczesna praktyka sądnicza tego nie wymagała. Rozprawa odbyła się w Neumarkt. Nie wiadomo, czy cieszył się z wysokości wyroku, czy może ten go przeraził. 2 lata w obozie karnym za czynną zniewagę osoby narodowości niemieckiej, w czasie której Jan próbował objąć panią Teresę i dotykał jej organów płciowych. Nawet jeśli uważał, że to zbyt wysoka kara za takie niewinne igraszki, to nie był to koniec tej historii i przysądzona kara nie była ostateczna. Wydaje mi się, że miał prawo myśleć, iż 2 lata w obozie koncentracyjnym za to tylko, że wsadził babie łapę w majtki to raczej sporo.

Przejście władzy w Niemczech było "rewolucją"; Czas był to szczególnie i aby zmusić zmurszałe i zachowawcze instytucje przejęte po Republice Weimarskiej do działań adekwatnych do tego, co działo się wokół, partia ustanowiła szereg niezbędnych instytucji kontrolnych i wyposażyła je w szerokie uprawnienia. Miało to wpłynąć na aktywizację działań opieszłych urzędników. Na czołny prokurator Rzeszy otrzymał prawo oceniania wyroków sądowych, a także możliwość składania wniosku do Trybunału Rzeszy o ich unieważnienie. Tak było i tym razem. Trybunał po przestudiowaniu wyroku jaki zapadł w sprawie Jana Łopatę odesłał sprawę do ponownego rozpatrzenia, ze wskazaniem paragrafu, który należy wziąć pod uwagę. Był to paragraf 4 rozporządzenia z 5 IX 1939 roku i precyzował on, co należy robić ze szkodnikami publicznymi. Sąd specjalny w Norymberdze również uznał Jana winnym i za objęcie pani Schwenzl, a także dotykanie jej narządów ukrytych pod spódnicą (może właśnie to było tak cburzające) wymierzył karę tak surową, jak to tylko było możliwe przy wykorzystaniu tego paragrafu. Istotny kolor czarny widoczny był na żełazie topora, a okraślił go dla urozmaicenia kolor czerwony w postaci krwi Jana. Wyrok wykonano na początku grudnia 1942r.



Dworzec

Przed wejściem spotykam "Drzewo", właśnie wraca z pociąku na dworcem i jest cały szesławny, bo dostał prezent. Wielki niebieski termos. A teraz zastanawia się u kogo zjeść śniadanie.

Jest fajnie. Choćczas cieżno, szóstka rano, zimno i pełno miazgu w okolicy. Wschodzą do hali i nasychniał poraża mnie smród. Łudzi niewiele. Pełną jacy tacy senni i ociężali. Idę do poczekalni. Odsz ludziach oia zabija myśli. Nigdy nie satkałem ze smród może sprawić ból. A jednak. Ciepło go całym ciałem. Zdej się ze cały jestem przysiadnięty tym smrodem brudnych, gnijących ludziach oia. Zapachu potu zmieszane z tanim wołem, brzołowitą i kobiecą mieszańką. W poczekalni pełno ludzi. Brudne światło jarzeniówek podświetla szarość i nijakość tego miejsca. Po lewej kryminalni, obok "drytki": czystocień i orszadę "Piya". Po prawej starzy kłozarstwi stłoczeni w kat oiczym zwieźniętę kwiaty. [Mój przyjaciel Woody mówi, że oia są "Czyka"]. Pośródni stłuceni w sobie i trocbe nie pewni, tzw. podrzędni oczekujący na pociąg dokądś tam. Właśnie wziół "Kajtek", szaro stojących kryminalów. "Kajtek" pracuje, mieszka i szębi na dworcu. Zna wszystko i wszystkich, a wszyscy mają jego, Pana tego miejsca.

Jak przystało moosarsze z wyboru a nie z urodzenia. "Kajtek" jest przyjacielem oalego zwiatu, do może nie oalego, są pewno wyjątki. Tak jak teraz. Przywodził nową półowę i piję z kuzym. Ustka tylko takiego jednego wysokięgo. Widzę że mają oia do siebie. Nagle podbiega do niego i w pyak. Chwila szmatownicy i mow jest spokój. Jak to w rodzinie.

Spotykam "Zenka" - starego znajonka. Kłozarstwa, który rokrocznie opowada mi tą samą historię swego zycia; jak to ucałk dawało temu od zony-chołery i że cztery lata pozostali mu do emerytury. Za ma złote rączki do mechaniczki i z oczymi "Się, za lada dzieł to on na pewno wróci do domu. Dzisiaj jest inaczej. Lęzy biedaczyna na ławce, uszanie się z zimna i płacze, w tej swojej kłozarstwej krasnołudzkiej czapozce. Pokazuje mi bosa okrwawiona stopy i wioz buzy. Jakia sukienka jla jaj ukradł mi wczoraj buty, i co on ma teraz zrobić w środku zimy? Oglądam jego nogi. Szare z brudu, obrzękłe i zaropale. Daję mu trocbe kasy, tyle ile mogę, papierosy, starą bułę i gadam z nim. Bardzo to lubi.

Dwa lata później znajduję "Zenka" w bramie na Mostowej, z kulą śniegu w dłoniach. Umarł z głada.

Idę dalej. U kłozarstów jakici zamieszanie.

Nie wielkiego. Złapali złodzieja, który podrzadzał im butelki; cały ich majątek. Mam dość tego zminianaryzowanego "piekielka" Dastego, Prągoj zaszyd się w jakimś cichy kat.

Siada przy mnie młody chłopak, rwarz mi już skądś znana. Po chwili wyjmuję mały, szesnastokartkowy zeczy i coś w nim zapisuje. Czym prędzej zaglądam mu przez ramię, ciekaw o co chodzi. Poeta psiakręw, wyrwało mi się nie chowaj. Chłopak pisal wierz. Jaki nie wiem, miał jeszcze gorzsy charakter pisma niż ja. Szok. W tym całym ludzkim śmieciowisku znalazłem poetę znajdujęcego natchnienie właśnie tu.

Na poczciw nas ulokowała się dziwne para kłozarstów. On i Ona, pocieszny widok. Na krótki moment, przed oczyma, staje mi stara zębółka fotografa. Gdzieś z początku naszego wieku. Przedstawiająca ogródek nieznanę mi perylskiej kawiarzki. Na pierwszym planie widoczna dystyngowana para szczebiocząca nad filiżanką kawy. Oboje ubrani na bialo. On z laszczką i melonikiem. Ona w pełnej falbanki sukni do kostek, w ogromnym kapeluszu, przypominającym dobrze zagospodarowaną grządkę warzywną. Chwilę zastanawiam się, skąd to wspomnienie. Już chyba wiem: ta sama para, gasty...

Idę dalej. W przejściu pomiędzy wachobudami a zachobudim dworcem, leży młode dziewczyna. Rozkraczona w szpagacie niczym bakierka. Chłapie pocierają ją osem, rozmazują rękoma tani makijaż, mieszają go z krwią ciekącą z rozbitego nosa. Rozzerwana "mimi" ukazuje brudne majtki. Podobno ukradła kryminalnemu kurtkę i za to dostała "wpięrdół" - tłumaczy kłozarstka, zbranyym w kole dziewczyny. Tłumek powoli rozchodzi się, tylko jakiś chłopiec próbuje nieczepnie olednić jej negocł.

Idę dalej. Bar dworcowy. Zamawiam berbatę, na kawę nie mam fory. Oglądam sobie ludzi. Pod ścianą stoi jakiś typ z nogą opartą na kuli, dopala skręta. Przede mną "Babilonka" ładny szalony ten. Pomaga sobie przy tym podpiewując grubym, pęczępitym głosem. "Chod kochanie do mnie, chod...", tak to obyła szko. Przy czym stręca kilka talerzy i kubków. W tym i moja berbatę. Wzbudza przy tym powszechne obcyżnienie i niechęć pochlebniących w pospiechu, pomidorową z kłuskami i "leniwo", z wyczerzobionych talerzy.

Wpadli gliniarze zabrali "Babilonka". Nastal spokój, tylko że tego faocia pod ścianą jeden z gliniarzy skopał za palenie "na barze". Facet wyl bezzłotnie. Płaczo powtarzał wciąż "za co, za co..." Nikt nie zwrócił nań uwagi, a wokół jego nóg rosła kałuża krwi. Kopycy go gliniarz wiedział co robi. Facet miał zarwasowanego Bergera. Na tydzie rana wielkości nakrętki od siłoka i buty pełne krwi. Co mogę zrobić? Przemynam mu ręk resztkami berbata i próbuję zamowić krew chustka. Bezskutecznie.

Miesiąc później facet podmie sobie zylę. Skutecznie.

Idę dalej. Wstępuję do tzw. restauracji, na piętrze. Bufetowa senne przemieszca się z kawa w kat. Senność to stan charakteryzujący nie tylko ja, ale oale to miejsce wraz z niezliczonymi podrzędymi pogrzebnymi w berbecianym letargu. Nijakość tą maia jodynie stojący w kącie telewizor, z kolorowym i głoicym "MTV". Wszedł mężczyzna, koło czterdziestu lat. Chyba go znam. Usiadł dwa stoliki ode mnie. Głową skrył w dłoniach. Jest zmęczony nocą. Od stolika obok, podbiegł doń jeden z trzech chłopaków. Rzucił się z pięćkami, krzyczą wciąż te same słowa: "Spier... stał ty gnoju. Ty głupi podale zabieś Krzyśka. Spier... stał, no już cię tu nie ma. Co nie pamiętasz głupia cioto. On się przez ciebie powiecił..."

Zastawkowy mężczyzna próbował wstać, brocił się. Nie starczyło mu ni. Opadł bezsilnie na krzesło zaklanając głowę przed ciosami. Później kiedy został sam, chyba płakał lub może tylko zasnął zmęczony nad berbatą.

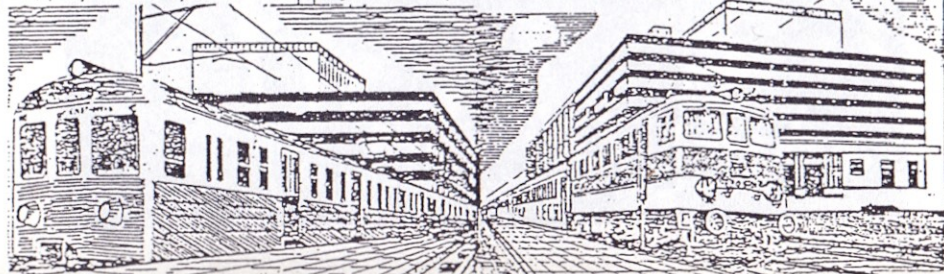
Idę dalej. Znowu trafiam na poczekalnię. Kryminalni zmoczni woda i zyciem, stłoczeni w ogromny berłóg, śpią. Minie też ogarnie senność. Dnieje. Chowam się w kącie, jak najbliższy grzejnika i szybko zmiłam we śnie.

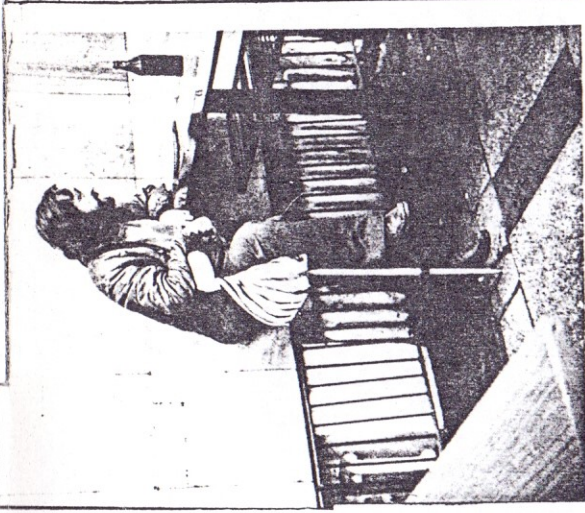
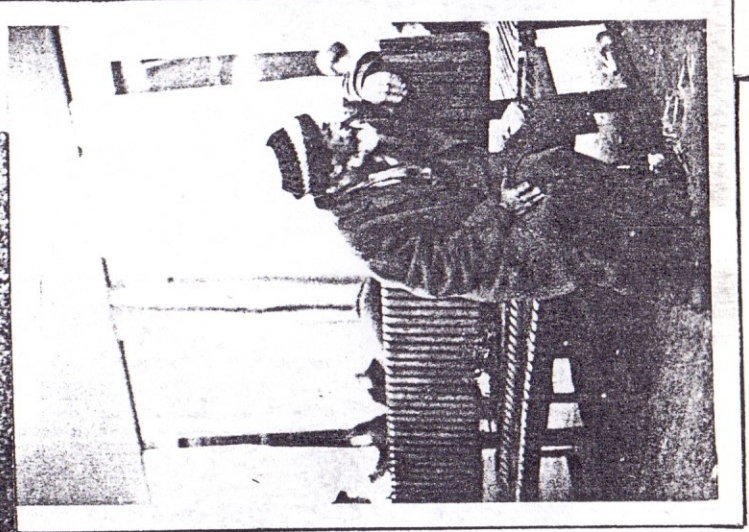
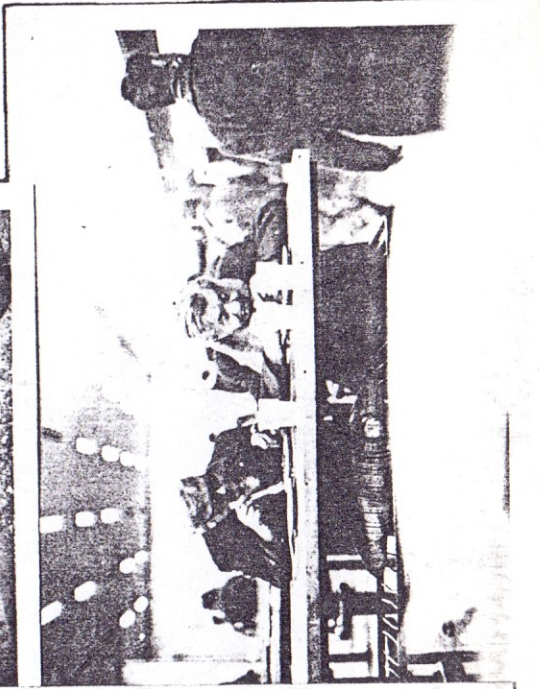
Budzi mnie rudy sokista. Sprawdza dokumenty i na wszelki wypadek spisaue wszystkie dostępne dane. Wzbudziłem ich nieuczność, tylko czym? Na dowiedzenia rudzielca poucza mnie o tym tutaj wiojęj aie spał bo jeszcze zarobię w "czapę".

Po chwili na poczekalnię wpada zgraja chudych, sepieniących sprzątańek, uzbrojonych w kubły, szmary i szczoty. Zaczyna się sprzątanie. Nie mogą dobrać kryminalnych. Ale od czego jest szmata i szczota. Pokornie, niczym stado beranków bozych, przemieszczają się do światlicy.

Idę dalej. W toalecie perooowej jakas perka uskutecznie przedstuzanie ganunku. Tak na oko Ona ma z pięćnaście lat. On nie wiele wiojęj. Ich sprawa, tylko czy oia muszą tak stękać.

Idę dalej...







Przybądź, Duchu Święty,
Ześlij z nieba wzięty
Światła Twego strumień.

Przyjdź, Ojczy ubogich,
Przyjdź, Dawco łask drogich,
Przybądź, serc Światłości.

O, najmiłszy z gości;
Słodka serc radości,
Słodkie orzeźwienie.

W pracy Tyś ochłoda,
W skwarze żywą wodą,
W piaczu utulenie.

Światłości najświętsza!
Serc wierzących wnętrza
Poddaj swej potędze!

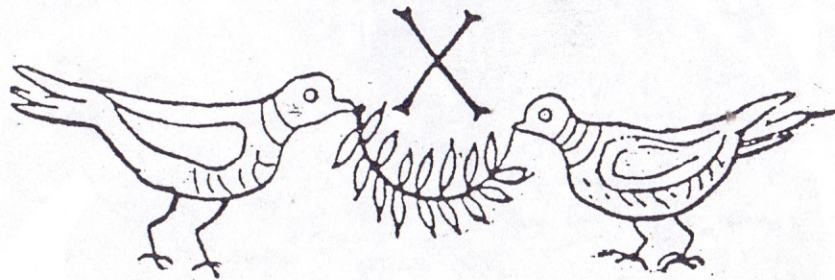
Bez Twojego tchnienia
Cóż jest wśród stworzenia?
Jeno cierń i nędze!

Obmyj, co nieswiete,
Oschłym wlej zachętą,
Ulecz serca ranę.

Ugnij, co jest harde,
Rozgrzej serca twarde,
Prowadź zablakane.

Daj Twoim wierzącym,
W Tobie ufającym
Siedmiorakie dary.

Daj zasługę męstwa,
Daj wieniec zwycięstwa,
Daj szczęście bez miary!
Amen. Alleluja.



SOBIE MAŁYM CHŁOPCEM

Patrząc na niebo nocami po głowie chodziły myśli.

Zadawałem sobie pytania, na które szybko znajdowała się odpowiedź.

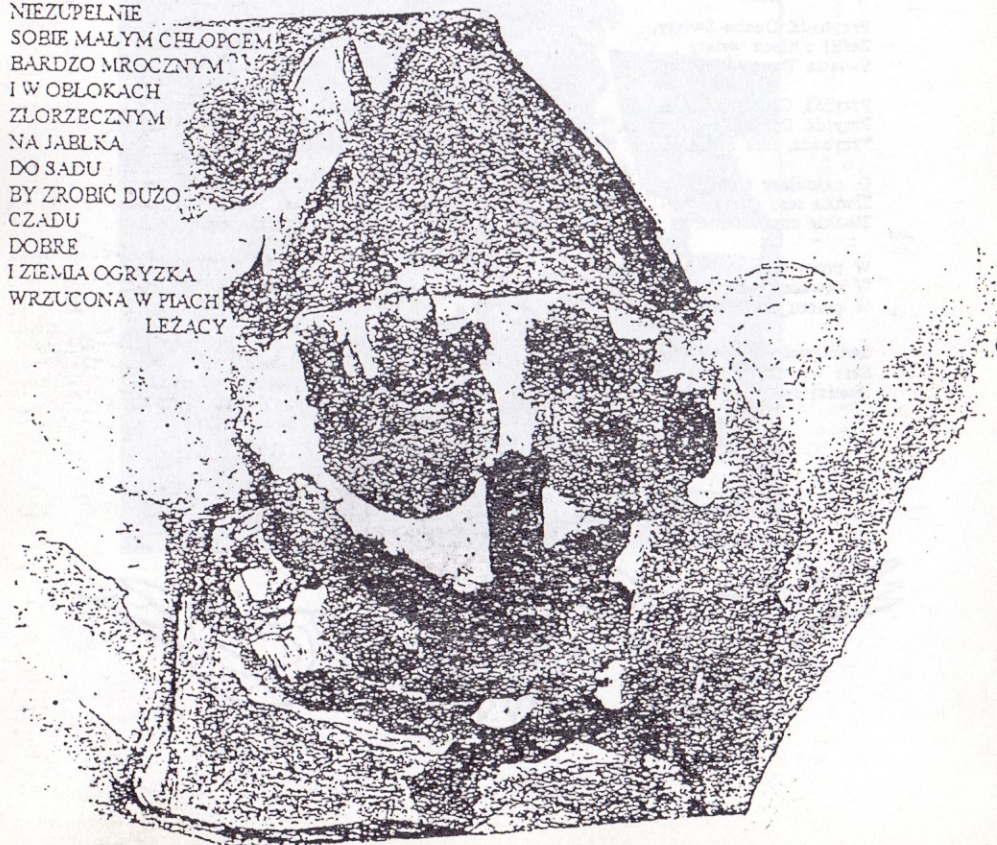
Podczas takich podróży zauważyłem, że niebo nade mną jest jakby wielką butlą. To dzięki księżycowi, który to ze swą świetlistą otoczką był szyjką widzianą z wewnątrz. Pomagając ojcu przy wyciśnięciu winogron do butli (z czego całkiem przyjemne wino wychodziło) wiedziałem, że to kształt owej butli całkiem pasuje do mej bajki. Żyjąc z tym obrazkiem w głowie nie wyrosło to ze mnie, a bardziej się nawet potwierdziło.

Świat ukazywał się zamroczony. W większości gdzieś tam ludzie nurkowali, a później to już drgawki z chęci a niemożności pomieszczenia w sobie.

Sobie małym chłopcem będąc wędrowałem po powierzchni widząc szyjkę butli. Z czasem nieraz nurkowałem. Poznałem to, iż lekkość siebie będzie mnie zawsze utrzymywała.

Nadai buda mnie fascynuje. Pomimo to, że ludzie dorośli coraz mniej czasu mają na zauważanie szyjki, a często też nie wiedzą, bo właśnie szykują się do nura jeszcze dłuższego od poprzedniego po większą zdobycz. Od tego wołę podróże na winnym szlaku.

NIEZUPELNE
SOBIE MAŁYM CHŁOPCEM
BARDZO MRO CZNYM
I W OBŁOKACH
ZŁORZECZNYM
NA JABŁKA
DO SADU
BY ZROBIĆ DUŻO
CZADU
DOBRE
I ZIEMIA OGRYZKA
WRZUCONA W PIACH
LEŻĄCY



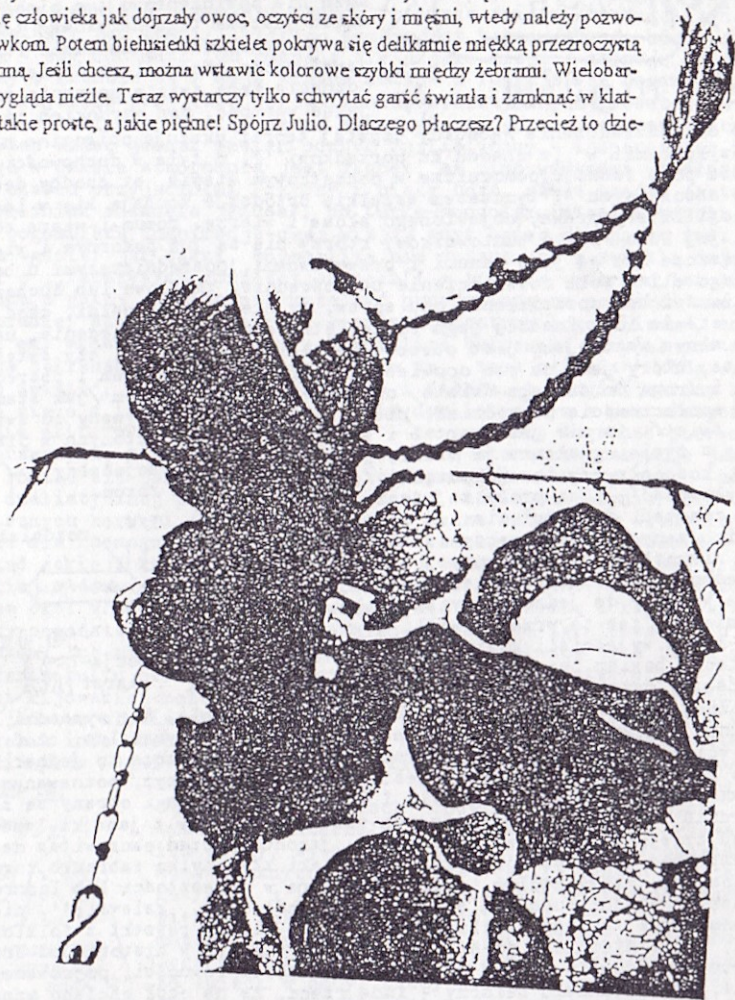
NIEROKOJI PŁCI
WYBELENIA PRZESTRZENI
W PRZEPASTNYCH OZCZACH KOBIET
ROŚNIE I ROZKWIITA
SAMOINNYCH NOCY PĘD
ROZPIĘTA NA ODC
NA KRZYŻU CIAŁA

Zamknięty w samotności
zadaje sobie ból
agonia rozpalonych zmysłów
w oczach kobiety
widzę wygnanie
skóra ociera się o skórę
przelewa się z przepelnionego źródła
dotykam pustki
która jest nią
tańczę u kresu nocy
na dnie pocałunku

i ciemność jest szara
_____ jak popiół
oczy sine jak niebo
ostre krawędzie
_____ kamienia
wrzynają się w rogi
_____ ulic
na skórze rany od
wzajemnych dotyków
usta krwawią leniwą
_____ strużką
rozbite o bruk

NIEMOŻLIWIE
OSŁE ZOBACZ. PŁONIESZ OGNIEM.
TY W PŁONIENIU RADOŚCI

Czy wiesz co to jest WITRAŻ SZKIELETOWY? Nie wiesz? Wy tłumaczę Ci.
Jeśli wydrąży się człowieka jak dojrzały owoc, oczyści ze skóry i mięśni, wtedy należy pozwolić działać mrówkom. Potem białusiutki szkielet pokrywa się delikatnie miękką przezroczystą warstwą ochronną. Jeśli chcesz, można wstawić kolorowe szybki między żebrami. Wielobarwna folia też wygląda niezle. Teraz wystarczy tylko schwytać garść światła i zamknąć w klatce witraża. To takie proste, a jakie piękne! Spójrz Julio. Dlaczego płaczesz? Przecież to dzieło sztuki...

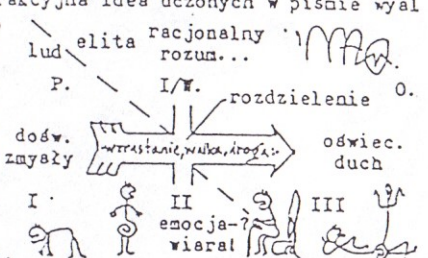


Ludzie, mężczyźni, chłopcy - ostra amunicja. Wytnij trzon drzewa, a uschnie. Zasłoń dłonią twarz i patrz. Wycie do księżycy nie zastąpi kroku wyjścia z ciastnych wyniarów w ocean barw. Już wiem Julio czego chcesz. Ty też. Chcesz magii. Świec płonienie, światło gwiazd. Symbole, znaki, czerwień, czerń i biel. Wtajemniczenie. Klębek wełny. Arachne - pajęczyna zagadek, tajemnic. Misterna woalka. Zepomnienie. O błędach dnia, o wstydzie, że nie wyszło. Oslepiona światłem nie mogłaś zrobić tego dobrze i nie popełnić błędu. Nie wiedziałaś przecież, nie zauważyłaś ukrytych w cieniu drobniaków rozwiązania. To nic. Przedstawienia. To tylko przedstawienie. Gra ogromna. Maski. To nie było naprawdę Julio. Naprawdę jest teraz. Niewytłumaczalne cudowne teraz. I nie pytaj dlaczego tak jest. Patrz i pochwijaj. Poczuj. Chłoń magię życia bez zegarów, bez pośpiechu, bez tłumy. W małym pokoiku jak cały świat. Aż dziw, że tyle tu miejsca na dotyk. Połóż się tu. Obok pieśczoł. To wystarczy. Wierz mi. Na pewno wystarczy. Jesteś taka piękna Julio. Nie wiem jak wyrazić zachwyt i dziękczynienie.

NIE Z rządu WYŁEW SWOBODY WIEŃCZON WŁOŻYŁ WŁOŻYŁ

może nie powinienem o tym pisać, ale nie umiem jeszcze tego narysować tak, by móc wam to przekazać. o co idzie? otóż poznać można racjonalnie i nie- o ile dla poznania tego świata poznanie rozumem ma jakąś wartość, pod warunkiem że nie jest

odcięte od doświadczenia /absurdy czystej teorii ukazują przigoginę na przykładzie fizykochemii w „z chaosu ku porządkowi”, o tyle w duchowości nie może wychodzić poza funkcje pomocnicze w początkowym etapie, ot choćby destrukcji „prawd absolutnych”. Tymczasem wszelkie ortodoksyje kochają się w logice, interpretacji litery prawa, objawionego słowa i wierze. rozum-i-wiara to domena elity i jej ludu /także buntowników, którzy nie są już pokornym i wiernym ludem, a jeszcze nie są jego panami i prawodawcami, pośredniczącymi u boga-idei/ lud i jego elita woli doświadczenie bezpośrednie, zmysłowe lub duchowe /w miarę możliwości bez rozdzielania obu spraw, by nie utracić pełni, choć inaczej akcenty stawia lud, inaczej jego elita, stawiająca nas/ oświecenie, uświęcenie - tu od słowa ważniejszy jest obraz w postaci bajki, ikony, czy świętego i jego żywota, który jest na raz opowieścią i archetypem, wzorem i pośrednikiem-kluczem i drogą do tamtego świata, naszym w nim człowiekiem /jak szaman żyjący poza społecznością na codzień, kiedy wszystko gra i wzywany od święta by odnowić świat/. to nie jest martwa i abstrakcyjna idea uczonych w piśmie wyalienowana z życia, gwałcąca je w imię pana, państwa, kościoła czy innej kontroli /jak choćby własność/, lecz próba zajrzenia za zasłonę zdarzeń, osiągnięcia ich istoty, a bez nich samych, bez urzeczywistnienia, jest to niemożliwe. od pierwotnej nieśmiałości domyślności poprzez rozdzielanie na ja i nie-ja wracamy do jedności wyższej, bo uświadomionej, tak to przedstawiali dawni mistycy i tym wyjaśniali konieczność upadku /wcielania bowiem bez niego nie byłoby samopoznania, pełni ono rolę lustra ja/fni.



*) czy pozorne oświecenie, przez umiar i autokontrolę, nie wychodzi jednak poza funkcję negowania lipy /prawda-duchowa jest niewyróżnialna, choć podejmujemy się wciąż takie próby, by przekazać ją innym - oznacza to jednak, że jej w pełni nie doświadczamy; skoro jest coś poza poznającym, poznawany i poznaniem jako jednością, gdzie się wie i tyle, gdzie słowa i obrazy są zbędne/. puścili dzisiaj w ty górali podkreślonych przez rastamenów z jamajki, spodobało mi się, choć czystego góralstwa nie trawię. jępodcom oczeń panarwitaś mejsje szope na z koleł. może ten nasz folklor nie był taki zły, tylko zabrakło kogoś, kto by go podniósł na wyższy poziom, jakiegoś homera w przeszłości lub lönrota, który z fińskich pieśni ludowych stworzył epos narodowy „kalevala”. niestety za brakło nam kogoś takiego, a dzisiaj zostały jeno mierne resztki z folkloru. tu dwie uwagi, po l. niedaleko odeszliśmy na swym starcie w historię od źródła /co w polityce zaowocowało kultem plemiennej wolności=równości, pojmowanej na wpół magicznie, co utrudniało reformy - inna rzecz, że na ogół chcieliśmy zamocnić władzę, a lud szlachecki chciał wolności. w kulturze jednak oznaczało to brak elity, która mogłaby obrodzić dawne wartości, nowa powstała już po schrystianizowaniu i w oparciu o włoski humanizm, choć coś tam czasem przebąkiwano o dawności słowiańsko-sarmackiej; może to oznaczać drogę długą i krótką zarazem, bo to niby z powrotem a na około trzeba. 2. w wielu kulturach już w czasach historycznych opowieści, bajki, przykładowe historie służyły ochronie przed złym i nawiązaniu kontaktu z dobrym /nie ma w tym nic dziwnego, dawniej w święto by odnowić świat, a nawet by uleczyć chorego w kryzysie, opowiadano całą wiedzę w mitach zawartą, a nawet odgrywaną ją w obrzędzie z muzyką, tańcem, śpiewem na miejscu świętym, środku świata, często przyozdobionym obrazami, ale i będącym /kraj/obrazem samym w sobie/. wg. najciekawszego z metafizyków islamu ibn arabiego stwórca wyobrażenia materializuje boga by mógł w stworzeniu poznać samego siebie /każdy z nas czyniąc to bierze w tym udział i przybliża się do samego siebie, swej boskiej istoty/ i o to poznanie bogatszy odzyskać jedność ilością. ⊕ kitowicz, rzewuski, mickiewicz itp. pisali raczej o szlachcie, przy czym kitowicz zmarł w momencie, gdy zaczął tylko pisać o chłopach, kraszewski był okrutnym grafomanem i pisał pseudohistorie, słowacki jako wariat z przerosniętą wyobraźnią niemal niczego nie skodczył, a vincenz nie wyszedł poza swoją huculską szczytną /on jeden doad głęboko siędział przy tym w folklorze/, langer i buber woleli rzecz jasną naszych chasydów, a potoccki rekopis znalazłszy w sergossie, czy „pięść o pułku igora”, choć od jeden diałkowskiej władzy i talentu 1991.

Obok przedstawiam fragment z „nietoperza” nr 34 z sierpnia 1984 wraz z tą redakcją mitu słowiańskiego opartego w znacznej części na folklorze. warto tu dodać, że jest to „logiczne” i analogiczne do sytuacji religii turko-mongolskich, gdzie istnieje bóg=niebo tengri, stwórca świata /rozdzielił niebo od ziemi i postawił tam ludzi/, którego synem jest kagan /chan/. kiedy ginie jego imperium - bóg odchodzi lub rozpada się a jego miejsce zajmują mniejsi bożkowie/duchy w liczbie 99 - mają własne imiona i funkcje, są bogami ludu i ich roli nie przyćmiło przyjęcie religii uniwersalistycznych /podobnie u słowian, gdzie wiele stał się nikołaj, perun eliaszem czy jerym, mokosz piatnicą itd./ u słowian widać jednak pewien odchył dualistyczny - inspiratorem i pomocnikiem boga w dziele stworzenia jest diabeł, są mimo wrogoci współpracownikami, ba - czasem przyjacielmi /czarny i biały bóg/, nawet braćmi /satanael, starszy bliźniak em Manuela jezusa/, po turko-mongolsku ptasimi bogami. el iade odrzuca bogomilską inspirację owej wizji, gdyż będąc obecna na rusi i nad bałtykiem -gdzie, jak sądzi, bogomilizm nie dotarł /co w świetle dajmy nam to relacji o „fałszywych chrześcijaninach” w trakcie wydarzeń lat 1030/40tych w polsce u galla anonima nie może być przyjmowane za pewnik/- nie istnieją ani w iranie, ani w bośni-serbii-węgrzech /centrum bogomilizmu/, ani w pd. francji i pn. włoszech etc. /gdzie bogomilizm bułgarski przyjął postać kataryzmu/. na bałkanach zaświadczony jest za to „deus otiosus” /bóg wycofujący się ze świata/, a także przyjaźń boga i diabła. z drugiej strony kojarzy mi się to nieco z innym nurtem gnozy, nie dualistycznym a panteistycznym i ludowym a nie elitarnym. idzie mi o sofję - towarzyszkę boga nad pierwotny mi wodami, sprawczynię stworzenia=upadku, po którą staruszek zastępuje jako młody heros, rodząc się jako dzieciątko dziewicy-matki. tak czy owak - mit znaczy w owej dualistycznej postaci wsch. i zach. słowianom jedynie, póki co nie ma zewnętrznych korzeni /motywy bałkańskie można odnaleźć w irańskim zerwanizmie, lecz dla kosmogonii słowian mają one raczej wtórne znaczenie/. czy żył był to ślad jakiejś kultury panskowiańskiej, która z braku silnej przedchrześcijańskiej władzy nie wyszła poza folklor? nota bene: chrześcijaństwo przyjmowali na ogół władcy - więc kierowany przez starszyznę i kapłanów wolał trwać przy pogadstwie, nawet gdy organizował państwo związkowe jak u wieletów czy prusów, lub miasto-państwo typu wolina. dla władcy było to za mało /próba narzucenia kultu peruna przed przyjęciem chrześcijaństwa przez włodzi nięrsa na rusi kijowskiej może być tu dobrym przykładem/, ba - nie wystarczyło i chrześcijaństwo słowiańskie. pech chce, że nie zachowały się ani z kijowa, ani z połabia info szersze, niż wzmianki o znieszczeniu pogadstwa autorstwa jego przeciwników /sami poganie nie zdążyli osiągnąć poziomu pisanego/. a



eliade sam zauważa, że mit kosmogoniczny krążył głównie w środowiskach ludowych, niepiśmiennych, gdy tymczasem materiały o heretykach dotyczą przeważnie ich elity, wywodzącej się niierzadko ze środowisk monastycznych, które wyżej ceniły tamten niż ten świat/ło/. u ludu księżyc /rodzaju męskiego/ odgrywa większą rolę niż słońce /nijakie, ongiś żeńskie?/. można to wyjaśnić pół-żartem, pół-serio, że choć świateli on światłem obditym /may-a, gay-a/maik, gaik/, to świeci w nocy, kiedy jest ciemno, a nie w dzień jak słońce, kiedy jest i tak jasno. dlatego lud czci pana żywiołów dzikiej natury bardziej niż myśl bożą - drogę do nieba z powrotem. kto odszedł, kto upadł - sam już nie wiem, czuję tylko pragnienie pełni, braku pragnień po odnalezieniu samego siebie. by było dolne i górne niebo pod/nad ziemią, wielo//stopniowe, a stopnie służyły do wędrówek szamanom. czy coś takiego jak u turków etc. istniało u słowian z braku dalszego ciągu ich kultury własnej w zakresie wierzeń nie wiemy, możemy próbować to wyłuskać badając folklor słowian. /u ludów ałtajskich gdzie przetrwało więcej, diabeł zjawia się na trzeciego w chwili, gdy stwórcy idą na spoczynek, by upomnieć się i o swoją 'działkę'. może to drugie oblicze animy, ciem. innym razem znoum panem piekiel jest człowiek, jako że pierwszy człowiek jest też pierwszym zmarłym, przodkiem naszym i panem tego świata widzianego w sposób ograniczony, świata 'ego' właśnie.../. można znaleźć u eliade pewną ewolucję od pramitu o zanurzeniu po tworzywo światła znanego w całym świecie niemal, poprzez możliwość dualizmu u turko-mongołów i ugrofinów, po jego urzeczywistnienie w folklorze słowian i części ich sąsiedów, którzy od nich owo nastawienie dualistyczne przejęli /czy podkreślenie w tym kierunku nie jest zasługą kultur ludów irańskich, co młoda i części ałtajców, np. tatarów. ab- państwo wersja l' boga przypomina ces. chin-yang!/.

Rzecz dzieje się w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim albo dwudziestym czwartym. Prawdopodobnie w Hamburgu. Są to czasy katastrof giełdowych i zawrotnej dewaluacji: dniówka pracownika portowego wynosi siedemnaście miliardów marek, a lepsze prostytutki biorą za usługi trzy razy tyle. (Marynarze w porcie hamburskim noszą „drobne” w kartonowych pudełkach, pod pachą.)

W jednym z różowych pokoików, w pobliżu portu, zmarła niespodziewanie na zapalenie płuc prostytutka imieniem Marietta. Ukrainiec Bandura, marynarz i rewolucjonista, twierdził, że „spłonęła z miłości”. Z jej boskim ciałem nie kojarzył bowiem niczego co banalne, a zapalenie płuc to „choroba burzujów”. „Spłonęła jak na stosie” — mówił. Choć od tego zdarzenia minęło już pięć lat, głos Bandury nadal był taki, jakim stał się w tamtej chwili: chropowaty i stłumiony, jakby się dławił od kaszlu. Sprawiał to nie tylko alkohol, choć prawdę mówiąc, Bandura w tych czasach był już ruiną, odepchnięty przez swoich, niby wielki zardzewiały statek, który osiadł na mieliznie i butwieje w płytkiej wodzie.

„Bądź spokojny — charczy Bandura — żadnej kurwy na świecie nie oplakiwano równie szczerze... I żadnej nie pochowano z większymi honorami.”

Przed pogrzebem Marietty spustoszone kwiatne grzędy w oranżeriach i ogrody wiłowe na przedmieściach, psy czekały przez całą noc, nawoływały się dogi i wilki targając obrożą przypominające psie korony cierniowe; ogniwa ciężkich łańcuchów

Śmiećne honorzy

ślizgały się na stalowych napiętych drutach wywołując brzęk tak głośny, jak gdyby dzwoniły kajdany wszystkich niewolników historii, a nikt, nawet starzy zmęczeni ogrodnicy, których kości nosili w sobie historie chorób wielką jak historia proletariatu, nikt nie przeczuwał, że owej nocy wybuchła mała separatystyczna rewolucja: marynarze z portu hamburskiego szturmem zdobyli pałacyki bogaczy, te dzieci proletariatu z Marsylii, Hawru, Antwerpii pod osłoną nocy pościnaly gladiolusy, podrzynając je u podstaw ostrymi marynarskimi brzytwami, i zdeптаły zdartymi buciarami wszelkie drobne rośliny, niegodne noza. Parki i skwery „barbarzyńsko podeptano” owej nocy i nie oszczędzono nawet Ogrodu Miejskiego ani skweru przed Ratuszem, „na dwa kroki od Policji”. „Tego barbarzyńskiego czynu — pisały gazety — dokonali niewątpliwie ludzie nastrojeni anarchistycznie oraz bezduszni przemysłnicy kwiatów.”

Na grób Marietty pozoszono krzaki róż, białych i czerwonych, gałęzie pini ze śladami świeżych nacięć, różnobarwne tulipany i chryzantemy, tuberozy, niebieskobiałe hortensje, dekadentyczne secesjonistyczne irysy, ten kwiat rozpusty, hiacynty i drogie czarne tulipany, kwiat nocy, trupio woskowe lilie, kwiat niewinności i Pierwszej Komunii, fioletowe bzy zalatujące rozkładem i ohydne gladiolusy (których było najwięcej), lekko białe i lekko czerwone, święte, anielskie gladiolusy sugerujące jakąś mistykę miecza-i-róży, a wszystko to pod znakiem zgnilego bogactwa, pod znakiem cienistych will bogaczy, trupio bujne gladiolusy, skrapiane potem starych zmęczonych ogrodników, różą spryskiwaczy, sztucznym deszczem studni artezjskich, aby chronić przed suszą te chorobliwie wybujałe, jałowe kwiaty. Pozbawiona zapachu, choćby rybiego, mimo fantastycznej

budowy członów przypominających kleszcze homara, mimo woskowych fałd płatków, fałszywych macek pylników i fałszywych kołców zastrzonych pąków — cała ta potworna bujność nie mogła wycisnąć z siebie nawet atomu miłego zapachu, nawet tyle, co dziki polny fiołek. Koroną tego roślinnego fajerwerku były gałęzie magnolii zrabowane w Ogrodzie Botanicznym, bujne gałęzie od skórzanych liściach, każda z jednym dużym białym kwiatem na czubku, przypominające jedwabne kokardy we włosach „dziewcząt z dobrych domów”, tych dziewcząt, które Kamerad Bandura (z właściwą sobie przesadą) porównywał do portowych kurew. Oszczędzono jedynie cmentarze, gdyż Bandura w apelu „do wszystkich marynarzy, wszystkich dokerów, do wszystkich, którzy ją kochali” domagał się tylko żywych kwiatów i, w „przyjętych” niemal mistycznego natchnienia, zdecydowanie zabronił bezczeszczenia grobów. Sądzę, że choć w przybliżeniu zdołał odtworzyć tok jego myśli: „Śmierci się nie oszukuje; kwiaty mają wyrażną dialektyczną orbitę i cykl biologiczny, podobnie jak człowiek, od kwitnienia do gnicia; proletariuszom przysługuje prawo do takich samych pośmiertnych honorów, jak panom; kurwy są wytworem różnic klasowych; kurwy są (zatem) godne tych samych kwiatów, co panienki z dobrych domów”. Itd.

Milczący pochód z Bandurą na czele, dotarłszy na proletariackie przedmieście, wznosił sztandary, czerwone i czarne, które rozwinęły się na wieźrze, zalopotały złowieszczą, czerwien płomienia i czerni nocy, symbole przypominające mowę kwiatów, lecz nie pozbawione kontekstu socjalnego.

Na granicy między grobami bogaczy i nędzarzy Bandura, nieco się potykając, wszedł na wysokie podium z czarnych marmurowych płyt (anioł z brązu trzyma wieniec nad dawno zmarłą, małą nieboszczką) i do ucichłego tłumu marynarzy z odkrytymi głowami, d i uszminkowanych prostytutek wygłosił mowę pogrzebową. Krótko, w zarysie, przedstawił biografię Marietty: ciężkie życie proletariackiego dziecka, urodzonego z matki-pracunki i ojca-wykolejńca, który skończył w Marsylii jako tagarż portowy i pijak. Ze ściśniętym gardłem, zalamującym się głosem, usiłując zawrzeć mowę pogrzebową, ten smutny bilans nieszczęsnego życia, w ramach wyznaczanych przez krzywdę społeczną i walkę klasową, Bandura, marynarz i rewolucjonista, wymawiając słowa nienawiści, jak gdyby czytał Bakunina, nie mógł jednocześnie nie przeżywać obrazów tego życia, jakby przerzucał karty starego albumu. (I wierzę, że z tymi obrazami mieszały się wspomnienia z jego własnego dzieciństwa.) Suterena pogrążona w jakimś chorobliwym półmroku, w dymie z papierosów, w odorze taniego wina i anyżówki; przykre sceny kłótni rodzinnych, razy, krzyki, gwałtowny szloch; pochodnie z papieru gazetowego używane do palenia pluskw, które skwierczą w ogniu, podczas gdy płomień liże osmalone już spojenia i rowki zielonych polowych łożek; małe iskanie włosów, wieczorami, przy chybottwym świetle lampy, gdy jedno dziecko pochyla się nad głową drugiego i u korzenia czarnych lub jasnych pukli odkrywa grona gnid; opuchnięte od prania ręce matki jak gotowane brzany...

Jego przemówienie nad otwartym grobem od czasu do czasu przerywały krótkie histeryczne łkania starych kurew (nad które nikt chętnie bczniejszej nie odczuwa przemijalności tego, co cielesne, i zagrażającej klęski rozpadu) i ochryple pokaszliwanie dokerów pociągających nosami, tak iż Bandura nie wiedział, czy to naprawdę kaszel, czy twardy mary-

narski płacz, męski surogat płaczu, ta sama namiastka westchnień i lez, którą zaprawił swe przemówienie. (Własny głos wydawał mu się obcy, jakby się dobywał ze skrzypiącego fonografu; wsłuchując się w ten chrypliwy głos, kartkował w duchu ów stary album, chronologicznie, od pierwszego spotkania z Marietlą.)

Ujrzał ją pewnego wieczoru, w roku tysiąc dziewięćset dziewiętnastym, w porcie hamburskim, gdy tylko zszedł na ląd z „pokładu „Frankena”. Wieczór był późny, szary, listopadowy, latarnie uliczne mrugały we mgle. Nazajutrz, w pewnej portowej knajpie (posługując się umówionym hasłem) nawiązać miał kontakt z aparatem, a do tej pory nie zwracać na siebie uwagi postawą, mową, zachowaniem, wyglądem, niczym się nie wyróżniać wśród setek, tysięcy marynarzy, którzy dnia tego zeszli na ląd. W „ulicy Lalek” zmieszał się z pijanymi marynarzami — i trzeźwymi szpiclami udającymi pijanych marynarzy — gapiąc się przez niskie okna na dyskretnie oświetlone pokoje. Lampy ustawione z boku, z czerwonymi abażurami, oświetlały jak u flamandzkich mistrzów portaty Dam we fioletowych wnętrzach, gdzie parawan z malowanymi dekadentckimi irysami, tym kwiatem rozpusty, zasłania tajemniczą Intymność (która pociąga swą skrytością podobnie jak fałdy lub rozciecia sukien): brokatem pokryta, twarda kanapa, solidna nity statek — o. Bandura znalazł rozstawienie tych sprząteł na długo przed spotkaniem z Marietlą! — polyskująca fajansowa miednica i smukły dzbanek z wysokim uchem. Różowe światło lampy odbija się na blyszczącej tkaninie parawanu, irysy stają się ciemniejsze, podobnie jak czerwony brokat pokrywający krzesło, pośrodku okna wystawowego, gdzie siedzi Dama. W stronę ulicy zwrócona jest półprofil, a w fałdach jej sukni załamuje się purpurowe światło lampy. Nogi ma skrzyżowane, w rękę trzyma robotkę. Błyskanie drutów nad robotką. Długie kasztanowate włosy spadają na obnażone ramiona, aż do pólnagich dużych piersi. Inna Dama, w sąsiednim oknie wystawowym, trzyma w rękę książkę niczym pokutnica czytająca Biblię. Pod płomiennorudymi włosami zasłaniającymi część twarzy — odbicie lampy w szklach okularów. (Gdy obserwator podejdzie nieco bliżej, może odczytać odbity duży czcionką tytuł: *Herbacia Monte Christo*.) Ma na sobie ciemną sukienkę z białym koronkowym kołnierzykiem, i żołnierska kurwa przypomina studentkę z Heidelbergu... A potem zobaczył Mariettę. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami, jak inne, trochę jakby wypięta, w jasnej atlasowej sukience, w papierosem w rękę, lecz w jej postawie, w jej wyglądzie, w tym bladioróżowym świetle, w którym zanurzała się niby w akwarium (odwieczna Syrena wszystkich marynarzy), było coś, co natychmiast pociągnęło Bandurę. Gdy wszedł do jej pokoju, gdy zasłoniła okno ciężką kotarą z zielonego aksamitu i wsunęła mu ciepłą dłoń pod koszule, wtedy dopiero zrozumiał: Mariettie nie przeznaczono żadnej roli — Gospodyni ani Robiącej na Drużach, Studentki ani Pokutnicy — jedynie ona nie potrzebowała skomplikowanej i długo ćwiczonej choreografii; wyjątkowa, niepowtarzalna, po prostu była portową kurwą.

„Kochala marynarzy z wszystkich portów i pomagała im — ryczy Bandura nad otwartym grobem, jak na wiecu — nie miała przesądów wobec koloru skóry, ras, ani religii. Do jej piersi malych, lecz pięknych, jak mawiał Napoleon Bonaparte, ten imperator zbrodni, przylały się czarne, ociekające potem piersi marynarzy z Nowego Jorku, żółte, pozbawione zarostu piersi Malajczyków, niedźwiedzie



lapy dokerów hamburskich i wytatuowane piersi retmanów z Kanalu Alberta, na jej szyi, białej jak lilia, odciskowały się, niby pieczęć powszechnego braterstwa między ludźmi, maltański krzyż i krzyż Chrystusowy, ikona rosyjska i gwiazda Salomona, żab rekina i talizman w kształcie korzenia mandragory, a między jej czułymi udami przepływała rzeka gorącej spermy uchodząc do ciepłej vaginy niby do portu macierzystego wszystkich marynarzy, do zlewiska wszystkich rzek..."

Słucha Bandura własnego głosu, dalekiego i chłodnego, a przed oczyma pojawiają się obrazy z życia Marietty, bez wyraźnej już chronologii, jak gdyby kartki albumu przewracał po swojemu wiatr i jakby on, Bandura, widział te sceny osobiście. (Po pieszczotach, w bliskości mężczyzny, którego naprawdę kochała — a do takich należał ów rewolucjonista o czułym sercu — Marietta potrafiła opowiadać o sobie szczerze, jak na spowiedzi. Do wspomnień powracała z dziwną nostalgią, jakby te ponure opowieści, pełne odpychających szczegółów, same w sobie nie były ważne, a ważny był tylko fakt, że działo się to dawno, wtedy, gdy była młodą dziewczyną, *presque une enfant*, prawie dzieckiem). Widzi, jak pewnej karnawałowej nocy obrzydliwy Grek bierze ją za rękę, bladą, z głową ciężką od piwa, choć, niby dziecko, spiła z niego tylko pianę; jak drobnymi krokami posłusznego, głodnego zwierzątka idzie za tym Grekiem wąskimi ulicami Marsylii, prowadzącymi w dół, do portu; jak wchodzi po schodach ciemnego budynku w pobliżu magazynów portowych, przesuwał dłoń po grubej linie, rozpiętej tam zamiast poręczy; Bandura, zawsze z tym samym niezrozumiałym gniewem, śledzi następnie jej pewne kroki ku drzwiom na trzecim piętrze (Grek stoi w głębi korytarza, żeby dodać jej odwagi). Potem scena przenosi się na ulice Marsylii, gdzie Marietta, uszmiłkowana, stoi pod ścianą podpierając się nogą niby chory ptak...

„Zebrałiśmy się tutaj, Kameraden — ciągnie Bandura — zebrałi się tu członkowie jednej wielkiej rodziny, kochankowie, narzeczeni, co mówię, mężowie jednej zony, kawalerowie jednej damy, bracia-jednodziurkowie, którzy upajali się przy tym samym źródle, pili rum z gardła tej samej butelki, pijani plakali na tym samym ramieniu i wymiotowali do tej samej miednicy, tam, za zielonym parawanem...”

Kiedy umilkł ochryply głos Bandury, w wieko trumny uderzyły pierwsze grudy, rzucające twarde rękami marynarzy i dokerów, którzy drobili ziemię, jak gdyby soląc wnętrza olbrzymiej ryby. Nad otwartym grobem rozlegał się trzepot czerwonych i czarnych sztandarów, które teraz już były tylko chorągwiemi pogrzebowymi. Następnie zaczęto zwać lopatami ziemię, która głucho dudniła na trumnie, podobnie jakby ktoś przyłożył ucho do oszalałego serca dziewczki po miłosnych czułościach. Kwiaty rzucono najpierw pojedynczo, potem całymi bukietami, a wreszcie naręczami, podając je sobie z rąk do rąk jak snopy podczas żniwa, od kaplicy aż do tej ubogiej części cmentarza, gdzie raptownie maleją krzyże, a tu i ówdzie położony kamień i próchniejące resztki drewna zastępują granitowe grobowce i statuy — z brązu. Nikt nigdy się nie dowie, jaki to instynkt, jaki ból, nienawiść klasowa czy rum jamajka, co ich zmusiło do tego, by złamać przykazanie Bandury, dość że dokonał się cud rewolucyjnego nieposłuszeństwa i rozszalał żywioł nieuzasadnionego buntu: marynarze i mewki, to twarde plemie, w gniewie, w uniesieniu, ze łzami i zgrzytem zębów zaczęli łamać pańskie gladiolusy, kaleczyć dłonie na lody-

gach róż, wrywać tulipany razem z cebulkami, szarpać zębami goździki i podawać je z rąk do rąk, całymi naręczami. Była to góra kwiatów i zieleni, stos tulipanów, hortensji i róż, trupiarnia gladiolusów, a krzyż wznoszący się nad świeżym grobem, i sam grób, zniknęły pod wielką stertą, pachnącą specyficznym nadgrynięm zapachem przekwitłych bzów.

Kiedy nadjechała policja, wytworne kwatery na cmentarzu były już ogołocone, obskubane, „jakby na ten ponury obszar spadła chmara szarańczy” — pisano o tym w prasie. („Roteflagge” przyniosła anonimowy artykuł o okrucieństwie policji, która aresztowała i wydalila dwudziestu marynarzy.)

„Zdemij czapkę” — mówi Bandura do swojego rozmówcy. Johann czy Jan Valtin (myślę, że tak się on nazywał) w nagłym przystępie bólu usiłuje sobie przypomnieć twarz Marietty. Pamięta tylko jej drobną postać, jej ciało i ochryply śmiech. Ów śmiech zamienia się nagle w uśmiech, w cień jej twarzy, ale za moment i to znika.

„Nie martw się — mówi Bandura. — Zadnej panienki z dobrego domu nie oplakiwano równie szczerze. I żadnej nie pochowano z większymi honorami.”



CZOLEG



Idąc rano do pracy usłyszałem dziwnie podejrzane dźwięki. Nagle tuż obok mnie przejechało stado rozszczęczonych czotgów. Nie zmóciłbym na to uwagi albowiem, było to zjawisko często spotykane w mojej parafii. Po upłynięciu długiej chwili dotarł do mych uszu dziwny, żerzący dźwięk. Odwróciłem się zaskoczony gdyż od długiego czasu nic nie działo się w mojej parafii, poza przejeżdżającą karuzelą. Zobaczyłem w oddali smutny, samotny czotg. Jego łufa była opuszczona, gasienice poluznione, jak łańcuch mojego „botika”. Na przykurzonej stali jakiś wandal napisał środkowym palcem „BRUDAS”, lecz ja tak wcale nie twierdziłem. Puścił do mnie oczko kłapką wizjera. Zapomniałem o pracy, o majstrze i moim młotku. Wpadłem w miłą ekstazę. Nigdy jeszcze się tak nie czułem, pomimo podglądania mojej sąsiadki, która ma płaskie gruczoty mlekowe. Poczutem unoszącą mnie siłę. Właściwie to nie mnie, tylko mój penis. Pogłaskałem pieśczołtliwie smutną łufę i wsadziłem do niej palec. Gwint był starty co świadczyło o tym, że dziewictwo owego czotgu było wątpliwe. Zaczęłem drażnić jego strzeby, erogenne /anteny i nity /. Jego łufa zaczęła powoli się unosić. Poczutem emanującą z jego wnętrza ciepło. Zachrzątał silnikiem.....

Poczutem dziwną lepkosć w moich ślipach, które dostałem na dzień dziecha. I W TEN OTO SPOSÓB ZOSTAŁEM ALFONSEM.

powinieneś:

● zgasić ogień w piecach;

● zgasić lampy naftowe;

● ostrzec sąsiadów — może nie usłyszeli alarmu;

● poddaj się bezwzględnie zabiegom sanitarnym;

● oddychać tylko

W CZASIE

ZAGROŻENIA PAŃSTWA

NA SYGNAŁ

Spokój, opanowanie, dyscyplina społeczna — to nasz obowiązek! To jeszcze jedna nasza skuteczna broń.

БРИГАДА ТРАКТОРИСТОВ



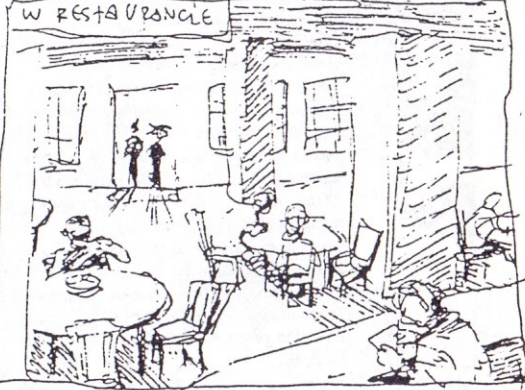
W TRAMWAJU STOI SOBIE KIEPURA
 A OBOK NIEGO POMARANCZ - RURA
 KIEPURA RUCHA A RURA - GRUCHA
 - NIE ROB KOCHANIE DZIS GRZYBOBRANIE
 I WTEM POJAWIA SIĘ ZIELONA KURA
 - E TY KIEPURA
 KIEPURA SIEDZI
 - ILE ZJESZ ŚLEDZI?
 PODCHODZI KURA I ZNOWU BREDZI
 - HEJ KURA ZJADAJ PAZURA INACZEJ JEBNIE
 CIĘ W LEB RURA
 ZIELONA KURA WSZYSTKO WIDZIAŁA LECZ
 MA TO W NOSIE BO DLA NIEJ KIEPURA TO
 TŁUSTE PROSIE

WADZĄC WIELKI ZAGRELLI GRAC
 ZADANIE NOWEJ LODOWEJ MOWIA
 A KOSZCIE WZIELI NA FLETACH
 NA FLETACH

Wyzedłem na plażę. Po drodze mijalem sklepy z artykułami plażowymi. Można tam było kupić między innymi środki do opalania produkowane przez CPN. Szal opalenizny ogarnia wszystkich. Z oddali słyszę huk odrzutowców. Przy wejściu na plażę stoi jakiś lekarz-needznik. Nawołuje wszystkich przechodzących aby się opamiętali, przestali smaczyć.
 - ...Słońce w zbyt dużych dawkach jest szkodliwe, powodujące raka promieni UV zabijają ciebie i twoje dzieci!... - wykrzykuje gestykulując. Ktoś przechodzący rzucił mi dychę uśmiechając się szyderczo. Ktoś inny krzyknął - Spadaj!
 Przeszedłem obok, co mnie obchodzi jakiś tam rak skóry. Zostawiłem swoje rzeczy na wydmie obok tysięcy innych. Na plażę wchodzi się nago. Nikt nie pilnuje, każdy bierze pierwsze lepsze, jak w Amsterdamie rowery. Spojrzałem na morze. Fale zalewały tych co byli bliżej brzegu.
 Nagle usłyszałem moje imię. To głos Jacka. Tylko gdzie on jest? Acha, tam po prawej. Poznałem go po tych czarnych włosach. Ostatnio był u fryzjera. Jego czaszka raziła łysiną. Pobiegłem w jego stronę. Plaża była tak wypełniona ludźmi, że mi już nie przyjmował się tył, że kogoś nadepnie. Za mną jakiś facet zwinął się w kłębek z bólu. Nadepnąłem go na brzuch. Kobieta dostała w nos. Potknąłem się o czyjs członek. Kolej się onanizował. Dobięając do Jacka usłyszałem za sobą wymioty. To jakaś dziewczynka. Chyba nadepnąłem ją jak jada. Otrzymała swoją makę i teraz dostała lanie.
 - Cześć.
 - Cześć. Zajęliśmy ci miejsce. To jest Kasia. - powiedział Jacek. Położyłem się obok Kasi. Pocałowałem ją w lewą pierś i pokazałem im butelkę, którą cały czas trzymałem w ręce.
 - Patrzcie co znalazłem w mojej babci na strychu! To jest olejek do opalania, naturalny. Max nie? Służyl do... - przerwał mi huk przelatującego odrzutowca.
 - Leci na plażę bogatych. Zamówili polewanie napalmem - powiedział Jacek - Burzujcie! Nad nami krąży helikopter, który zabierał tych ludzi, którzy się przegrzali i wykitowali.
 - Własnie zauważyłam, że ten facet nie żyje! - powiedziała Kaska. Machnąłem w stronę helikoptera. Spuścił nam linę z hakiem. Zahaczyłem ją o zebra tego faceta i dałem znak do pilota. Ciało wznosząc się ochlapało nas krwią.
 - Kurwa! - powiedział Jacek. - O wczny walkmana, szybko!
 Kaska podskoczyła i wyjęła trupowi słuchawki z uszu.
 - Czego słuchał? - spytałem. Jacek chwilę posłuchał, skrzywił się i powiedział.
 - Znowu to gówno sugerujące komórkom skóry szybsze produkowanie pigmentu. To go wykończyło.
 - Ale tyś.
 Chwilę poleżeliśmy w milczeniu chciwie łapiąc promienie słoneczne, gdy uszyliśmy jakiś wrzaski. Podniosłem głowę i spojrzałem w kierunku hałasu. Przy wejściu jakiś murezyn opalony totalnie na białe wykrzykiwał w stronę plażowiczów:
 - Czarnuchy do obozów! White power! - po czym uderzył kogoś tam pałką.
 - Patrzcie zadyma. - powiedziałem. Jacek spojrzał i położył się z powrotem.
 - Debil. Nie słyszał o tolerancji? - skomentował.
 Patrzyłem jeszcze chwilę jak przybiegły giny. Spalowali go tak, że był cały czerwony od krwi i wstali do rezerwy Indian.
 - Skurwiele - pomyślałem sobie. - Idziecie na piwo? - spytałem Kaskę i Jacka - Maru w chacie beczkę DAB-a.
 - Dobra. Słońce zaraz zajdzie, a te lampy opalające mnie wkurwiają - mówił Jacek wstając.
 - A na plaży, i tak jest nudno.



EH TE ANARCHISTO!!!



Choćdz
Choćdz szybko!
Przebiegnij po ramie
Teraz!
Lukitem plesow
Poprowadz melodie
Mocno jak echo
i... już
Biegić spina błękit
Gwiazdy spadają wilgotne
W spiacej trawie
Lini kawałek nieba

Jestem splakana woda
Noce są dżgłe
i zle
Nikt nie może przeżyć
Ciężkich plem na suficie
Drapanie w kołto
Saki broków
Bez spoczynku
Świ
Pod spuchniętymi powiekami
Zasypiaj

stworzenie
Świata

Wynysliłam sobie dłoń
Wędrująca w giętkościach
Ciepłych dotknięć
Zaklęcia misterne
Wykreslanie półkul
Wypukłości
Przykrywanie dłonią
Zanykanie
Wsuwanie się między
kolumny
Bieganie na palcach
W wilgotne zdumienie
Ciekawość
Penetracja
Wynysliłam sobie
Język

Wszelkich świat

W głębokiej nocy
Pierścienie wszechświata
Bezdech w nieskończonościach
Jedna planeta
Jedyny dom
Pokój
i ja
Drzwi zamknięte
Poruszam się
Małutko
Każdym nerwem
Odczuwam lata świetlne
We wszystkie strony świata
Cisza

Widziałam dziś Bogu!
W księgarzni na półce
W stary księżek wosmitych...
Równno układali je wczoraj
Czytał skłony
"Bagecki z obrakarni"
I płakał jak dzi echo
A oni przedochlili gęro
Inie było nikogo
Do otarcia łez

twy Uwa
W a m



WTFYKA: os. Czecha 17/8
POZNAŃ 61-287



NAKLAD: 100
EGZ. NR 1

WKLADKĘ ^{KLUB}STEMPLOWĄ PRZYGOTOWANĄ PRZEZ
KLUB NEGATYWNYCH ODJAZDÓW
WDAŁA OFICyna AGRAFKA.
100% ^{KLUB}RĘCZNA ROBOTA.

